W NUMERZE: Oflag w Deossel (3) ● Notatka o anonimach ● Luźne kartki ● Stanisław Piętak ● „Rewolucja kapitalistyczna" ● Pięć minut przed końcem świata ● Selekcja ● Poeci rzeszowscy ● Optymistycznie ● Pocztówka z Innsbrucka ● Seria pytań – propozycji ● Sanocki stan posiadania ● Snobizm bez postępu ● Telegramy ● i in.

KAMENA

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN – BIAŁYSTOK – KIELCE – RZESZÓW

LUBLIN

15.II.1964

Nr 3 (289)

ROK XXXI

CENA 2 ZŁ

BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

W KONSPIRACJI

(W 20 rocznicę powstania Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie)

ZBIGNIEW HIRSZ

WYDARZENIA roku 1944 na froncie wschodnim potwierdzały słuszne przewidywania Polskiej Partii Robotniczej: front radziecko-niemiecki przesuwał się w kierunku zachodnim, okupant zagrożony był z obu stron, z jednej nie do przezwyciężenia — siłą Armii Czerwonej, z drugiej nie do zlikwidowania — ciągle jednoczącym się ruchem oporu sił obozu demokratycznego.

Przewodnictwo w budowie frontu narodowego powierzono Krajowej Radzie Narodowej, której kierownictwo wyłonione zostało w Warszawie w noc sylwestrową 1944 r.: przewodniczącym został przedstawiciel PPR — Bolesław Bierut, wiceprzewodniczącym — Edward Osóbka, sekretarzem — Kazimierz Mijal. Głównym zadaniem KRN stało się zjednoczenie i mobilizacja sił narodu w celu jak najszybszego wyzwolenia Polski. Już na pierwszym plenarnym posiedzeniu KRN Władysław Gomułka w deklaracji stwierdził: *„Nieprawdą jest, że naród jest bezsilny wobec terroru okupanta. Naród może ten terror zahamować, naród może tak uderzyć wroga, że decydująco przyspieszy jego klęskę ostateczną, a przez to i swoje wyzwolenie [...]. Połączone w walce z wrogiem siły wojskowych i cywilnych organizacji narodu — oto droga do łamania terroru okupanta, do ocalenia milionów przed wyniszczeniem. Po tej drodze prowadzić chce naród Krajowa Rada Narodowa".*

Dążąc do odzyskania niepodległości KRN pierwszym dekretem powołała do życia Armię Ludową, w skład której weszły oddziały Gwardii Ludowej, Milicji Ludowej RPPS, szereg oddziałów BCh, a nawet AK. Szerokiemu frontowi narodowemu odpowiadała polityka KRN, która domagała się przywrócenia Polsce zgermanizowanych przemocą ziem na północy i zachodzie, dążyła do zbudowania ustroju sprawiedliwości społecznej, do wywłaszczenia bez odszkodowania obszarników i przekazania ziemi chłopom i robotnikom, do przeprowadzenia nacjonalizacji przemysłu.

Program KRN realizowano w oparciu o klasę robotniczą, chłopstwo i inteligencję pracującą. Dzięki ich działalności jako pierwsza w Polsce powstała w Lubelskiem Wojewódzka Rada Narodowa. Aktyw partyjny i partyzancki już w styczniu, kilka dni po powstaniu KRN, zebrał się na naradę, celem omówienia najważniejszych problemów związanych z organizacją Armii Ludowej i Wojewódzkiej Rady Narodowej. W naradzie, która odbyła

(Dokończenie na str. 6)

Z WYSTAWY W LUBLINIE IGNACY WITZ — OSTATNIE RODZAJE (GWASZ, F. ART. NA STR. 14.

WSPÓŁPRACA NA RADIOWEJ FALI

JERZY DOSTATNI

NIE wiem, czy panny Teresa i Elżbieta Cebulak na zabawie noworocznej w liceum ogólnokształcącym w Żołyni pod Łańcutem wystąpiły z piosenką „Walentyna twist". Alarmujący bowiem list, z którego niżej przytaczam wyjątki, napisały dopiero 26 grudnia i mimo że redaktorzy rozgłośni radiowej w Lublinie natychmiast spełnili prośbę swoich młodziutkich radiosłuchaczek, czasu już było niewiele. A oto list:

„Prosimy o przesłanie odwrotną pocztą nut ze słowami piosenki „Walentyna twist". Gramy na fortepianie i akordeonie i z piosenką tą chcemy wystąpić na szkolnej zabawie noworocznej. Dziękujemy za grzeczność".

Kilka dni wcześniej z samego Rzeszowa przyszedł list bardziej obszerny, adresowany do autora stałej pozycji programowej „Panorama melodii". Ponad zamaszystym, acz nieczytelnym podpisem widniał taki tekst:

„Chciałam przede wszystkim podziękować za przysłanie mi piosenki tygodnia. Nie mogę powiedzieć, że jestem stałą słuchaczką „Panoramy", bo po pierwsze czasem, a zwłaszcza w zimie, bardzo źle słychać Waszą audycję. Być może, iż gdyby była nadawana wcześniej, choćby przez okres zimy, byłoby lepiej słychać. Po drugie w tym samym czasie z Warszawy I nadawany jest „koncert dnia" i trudno się zdecydować, czego słuchać. Zwykle kręcę radiem, żeby słychać i jednego i drugiego. Ale dlaczego tak mało o naszych wykonawcach? Wszędzie tylko zagraniczne piosenki, zagraniczni wykonawcy, jakby u nas nie było się czym pochwalić. Ja wiem, że Pan czasem mówi o naszym rodzimym piosenkarzu czy piosenkarce, ale wydaje mi się, że za mało. To jedyne „ale". Poza tym bardzo lubię Waszą audycję. Załączam pozdrowienia".

Takich i podobnych listów z sąsiednich województw nadchodzi do rozgłośni lubelskiej Polskiego Radia bardzo wiele. Zapewne podobne listy otrzymują rozgłośnie w Białymstoku i Rzeszowie. Chyba tylko Kielce są jakoś pokrzywdzone, bo tamtejsza słabiutka radiostacja z trudem dociera nawet poza własny powiat, nie mówiąc już o województwie. Z tej obfitej i różnorodnej korespondencji wynika, że nasze „lokalne radiostacje" wcale nie są takie lokalne, a słuchacze wcale się nie liczą z granicami administracyjnymi. Dlatego też nie od rzeczy będzie pytanie, wynikające nie tylko z formalnego sąsiedztwa, ale i z zawartej już przed kilku laty umowy o współpracy kulturalnej naszych województw: jak ta współpraca wygląda w radio?

Mieszkańcy województw białostockiego i lubelskiego odpowiedzą tu wielkim chórem: jest, jest, chyba nawet za wielka. Nie bądźmy jednak zapalczywi. Przede wszystkim bowiem trzeba stwierdzić, że jeżeli na fali Lublina słyszymy cały program Białegostoku, a także odwrotnie, to sytuacja taka powstała przymusowo. Po prostu w naszym świecie zrobiło się zbyt ciasno. Międzynarodowy tłok na falach radiowych jest tak wielki, iż dla każdego nie stało już miejsca i stąd jedna fala dla dwóch radiostacji.

Z tego przymusowego małżeństwa wynika, że nawzajem słuchamy nie tylko tego, co nas interesuje, ale i tego, co nas nic nie obchodzi. Właściciele odbiorników radiowych są o tyle w lepszej sytuacji, że mogą się przełączyć na inną stację, ale słuchacze radiofonii przewodowej są bezsilni. Słyszą więc dwa, w gruncie rzeczy bardzo podobne do siebie dzienniki, dwa podobne reportaże ze wsi, dwa podobne felietony gospodarcze. Czasem najgorzej bywa z muzyką. Najpierw przynajmniej dwa razy słyszy się ową „Walentynę" z Warszawy, po kwadransie z Lublina, a po kilku minutach z Białegostoku. W ten sposób można znienawidzić najładniejszą melodię, mieć pretensje do najbardziej uroczej piosenkarki. Oficjalnie takie rzeczy nie powinny istnieć. Radio opracowuje dość szczegółowy program na wiele dni naprzód i poszczególne rozgłośnie mają czas i techniczne możliwości, aby takich powtórek uniknąć. W praktyce jednak bywa inaczej, zwłaszcza, gdy pewne audycje wypadają z programu, gdy wolny czas, chociażby minutowy, łata się muzyką. A ponieważ najczęściej łata się muzyką lekką i znów najczęściej aktualnymi „szlagierami" — wynik jasny.

Trzeba sobie powiedzieć otwarcie, że rozgłośnia lubelska i białostocka jak dotychczas nie wykorzystały należycie faktu, iż nadają swój program wymiennie. Fakt ten stwierdzamy codziennie w naszych głośnikach. Ale równocześnie trzeba dodać, iż zanosi się na zmianę. Koledzy z radiostacji lubelskiej poinformowali mnie, że zaczęli już przeprowadzać wstępne rozmowy z Białymstokiem w celu uzgodnienia pewnych programów. Na pierwszy ogień mają pójść redakcje wiej-

(Dokończenie na str. 6)

Oflag w Dössel (3)

WINCENTY KAWALEC

PEWNEGO dnia wywołał mnie na plac apelowy jeden z kolegów, znany uciekinier, i pod największą przysięgą powiedział mi, że jest możliwość zrobienia podkopu. Otwarły mi się nowe, wielkie perspektywy! Sama koncepcja była bardzo oryginalna: prowadzić podkop ze starego, murowanego budynku, leżącego wewnątrz obozu, do baraku drewnianego poza rzędem drutów. Budynek murowany — to po prostu stara składnica na ziemniaki, węgiel i o różnym innym przeznaczeniu. Barak po drugiej stronie — to skład ziemniaków i buraków, a także różnych obozowych rupieci. Dwie izby znajdujące się w części baraku przylegającej do drutów były puste i tam powinien wyjść otwór podkopu. W ten sposób długość podkopu powinna wynieść kilkadziesiąt metrów. W największej tajemnicy przed Niemcami i swoimi rozpoczęły się prace. Na rozpoczęcie prac i szczegółowe zbadanie wybrano dzień Wielkanocny ze względu na to, że Niemcy byli bardziej świątecznie nastawieni.

*

Rozpoczęły się więc prace nad wielkim podkopem obejmujące około 1500 roboczogodzin. Trzeba dodać, że w lutym 1943 r. grupa jeńców mieszkająca głównie w barakach 24 — 25 — 26 — 27 — 28 — rozpoczęła kopanie podkopu z tego budynku, lecz po wykonaniu 5 — 6 m kopanie zostało zaniechane, gdyż podkop zalewała woda. Został on potem wykorzystany jako magazyn desek do szalunków i magazynowania ziemi z wielkiego podkopu.

O ile poprzedni podkop rozpoczynał się na poziomie posadzki — to wejście do wielkiego podkopu było na wysokości dwóch warstw cegły poziomo położonych na posadzce piwnicy. Otwór podkopu miał około 50 x 50 cm. Musiał on być stale maskowany i upodabniany do muru, gdyż przeciwpodkopowa kontrola tego budynku była częsta. Do maskowania używana była specjalna maska zrobiona z desek, wyłożona od zewnątrz połówkami cegły cementowo-wapiennej, upodobnionej do otoczenia. Zaprawa z wapna i gliny była stale gotowa do zalepiania otworów. Maskowanie musiało być każdorazowe. Aby nie było znać świeżych śladów murowania, ścianę polewało się wodą, pozorując wilgoć. Stwierdziliśmy w czasie 5 miesięcy pracy nad podkopem, że Niemcy kontrolowali wielokrotnie budynek, ale szukali śladów na posadzce. Nie wpadli na to, że można otwór zrobić w ścianie.

Do roboty przystępowało się w czasie apelu, gdy wartownicy niemieccy byli zajęci apelem. Ekipa była najczęściej zapisywana jako chorzy, praca trwała normalnie od godziny 9 rano do apelu wieczornego, po apelu wieczornym normalnie do zamykania baraków na noc. Narzędziem był stary bagnet do kopania, nożyczki do wydłubywania cegieł i woreczki do wyrzucania ziemi.

Pracę rozpoczęto od wykopania czegoś w rodzaju pionowej studni, a na dnie tej studni komory, w której mogło się pomieścić dwóch ludzi. Od komory wychodził właściwy podkop o średnicy około pół metra. Ledwo się można było przez niego przeczołgać. Początkowo podkop nie był umacniany drzewem. Na długości około 12 m trzeba było jednak podpierać stropy i bok. Były to odpowiednio układane deszczułki. Drzewo na podpórki kradło się wszędzie. Głównie z baraku administracyjnego, ale również z łóżek itp. Początkowo było chowane na strychu baraku mieszkalnego nr 27, a później magazynowane w pierwszym podkopie. Ziemię transportowano w specjalnej mufce z koców, do której kopiący podkop „na przodku" wrzucał worek z urobkiem (ziemia, piasek, nierzadko kamienie). Gdy worek się napełnił, wkładał go do mufki i pociągał za sznurek, dając znać koledze w komorze wejściowej, którego zadaniem było regulowanie transportu i opróżnianie woreczka. Początkowo ziemię wynoszono poza budynek, później uklepywano w stary podkop i w inne miejsca. Wynoszenia ziemi normalnie dokonywano z zastosowaniem woreczków szytych z prześcieradeł obozowych. Praca była bardzo ciężka. Szczególnie dawał się we znaki brak powietrza. Ponieważ głębokość podkopu wynosiła około 2,5 m, nie można było pracować bez wentylacji. Wentylatorem był specjalnie skonstruowany mieszek z desek i skóry z teczek, z małym wentylkiem ssącym. Sam przewód powietrzny uszyty był z tkaniny workowej — z siennika, zaimpregnowany tłuszczem, tzw. „małpim smalcem", który Niemcy od czasu do czasu dawali. Całość wzmacniał lepik używany do smarowania dachów. Oświetlenie stanowiła latarnia naftowa typu wozowego małego kalibru. Ukradziono ją z korytarza barakowego. Najbardziej niebezpieczna była praca kopiącego na przodku. Mógł być zasypany ziemią, zemdleć z braku powietrza, wreszcie mógł być zastrzelony w razie wykrycia podkopu. Obsypywanie się ziemi zdarzało się często. Praca pozostałych trzech była też bardzo ciężka i odpowiedzialna. W połowie podkopu był duży głaz, nie dający się usunąć. Bardzo nam później przeszkadzał w wyjściu.

*

Przez kilka długich obozowych miesięcy podkopowcy drżeli, aby się nie wydarzyło coś nieprzewidzianego. Groźne były sprawy nieprzewidziane — nagłe, niezapowiedziane apele, wypadek zasypania pracujących w baraku itp. Pewnego dnia w początkach maja niemiecki pułkownik — komendant obozu — przyszedł niespodziewanie do obozu w czasie apelu, stanął sobie koło bramy i obserwował apel. W tym czasie, stosownie do planu, do budynku podkopowego weszła ekipa kopaczy (ppor. Tyrlika). Komendant obozu, który to zauważył zarządził alarm, otoczył wartownikami budynek. Zdawało się, że podkop został wykryty. Na szczęście trzej pechowcy wykorzystali odpowiedni moment, wyskoczyli oknem z budynku i zniknęli w tłumie apelowym.

Ciągle oczekiwaliśmy, kiedy Niemcy zdradzą się, że wiedzą o podkopie. Praca została, oczywiście, przerwana. Jakież było nasze zdziwienie, a później radość, gdy po pewnym czasie odczytano nam na apelu rozkaz komendanta, który nas wszystkich ukarał wstrzymaniem poczty dlatego, że „polscy jeńcy (o hańbo!) usiłowali ukraść ziemniaki, lub węgiel".

Przez pewien czas żyliśmy pod wrażeniem, że jest to typowy podstęp i że Niemcy wiedzą o podkopie, ale chcą nas nakryć. Z należytą ostrożnością przystąpiono nadal do pracy.

Podstawowymi warunkami powodzenia każdej ucieczki z obozu był przede wszystkim odpowiedni ubiór cywilny, dobre dokumenty, pieniądze na bilety kolejowe i znajomość języka. Do tych czterech zasadniczych warunków dodałbym jeszcze inne, jak np. znajomość biegu i warunków życia w Niemczech, odpowiedni dobór jedzenia, ogólną orientację w systemie bezpieczeństwa obowiązującym aktualnie w Rzeszy.

Mając ubranie, niezbędne pieniądze na bilet kolejowy, znajomość języka, zacząłem przygotowywać sobie dokumenty. Przy wielkim podkopie przygotowaniem dokumentów zajęła się grupa plastyków z Dodackim na czele. Najtrudniejszą pracą było wypełnienie dokumentów. Doskonale to robił ppor. Łazarewicz — dr weterynarii. Przy dokumentach pracowało przez 3 tygodnie stale 3—4 ludzi. M. in. ppor. Wojciechowski sam przygotował 9 kompletów. W ogóle wykonano 32 komplety dokumentów. Były 3 rodzaje dokumentów.

Ausweis — przepustka policyjna, upoważniająca do wyjazdu do określonej miejscowości, **Dienstausweis** — dla obcokrajowców, **Urlaubschein** — dla robotników, zatrudnionych w Rzeszy. Wzory tych dokumentów zostały zdobyte od polskich robotników. Wielką sztuką było nie tylko prawidłowe wykonanie dokumentów, ale przede wszystkim ich wypełnienie ręczne drukiem gotyckim. Do odbicia blankietów dokumentów używano kalki litograficznej odbitej na matrycy z kleju stolarskiego. Papier był koloru lekko żółtawego. Nadruk robiono ręcznie tuszem czarnym. W taki sposób robiono „Urlaubschein", Dienstausweis" robiono z brystolu, odpowiednio zabarwionego szarym, rozwodnionym tuszem. Tekst pisany był drukiem gotyckim. „Ausweis" robiono podobną techniką jak „Urlaubschein" i pociągano czarnym tuszem.

Przy wypełnieniu dokumentu trzeba było bardzo uważać, aby nie pomylić miejscowości, tytułu podpisującego, a nawet jego nazwiska. Ja osobiście jako cel swojej ucieczki widziałem zawsze kraj. Uważałem, że w chwili kiedy kraj walczy, kiedy miliony ludzi przebywają w obozach, naszym obowiązkiem jest być i walczyć w kraju. W kraju wróg był najbardziej krwiożerczy, a naród najbardziej walczący. Oczywiście, że zawsze szanowałem każde, indywidualne racje, przemawiające za innym rozwiązaniem. Znam dwa wypadki, że jeńcy przygotowali sobie dokumenty w sposób dość oryginalny. Mianowicie przy wielkim podkopie por. Czenszak Aleksander, lat 30, wzrostu 1,65 m, włosy ciemno-blond, uciekał jako kobieta wiejska — robotnica. Ubrany był w ciemny baskijski beret, białoczarny płaszcz, zrobiony w obozie z koca i bluzkę z koszuli khaki. Tak go widziałem na dworcu w Warburgu. Niestety, w czasie ucieczki już w pociągu na trasie Bielefeld-Hamm został rozpoznany przez konduktorkę. Podobno przyczyną był zarost na twarzy, a nie dokumenty.

Drugi wypadek dotyczył ucieczki w przebraniu zakonnika. Ubiór z koca był zrobiony doskonale, dokumenty dobre, uciekający wpadł w ręce gestapo na skutek pościgu po ogłoszeniu faktu ucieczki wielkim podkopem.

Na zakończenie opisu przygotowań chciałbym wspomnieć o kierownictwie prac nad wielkim podkopem. Jestem tu w kłopocie, bo ze zrozumiałych względów kierownictwo to było w obozie bardzo zakonspirowane, a już po wojnie nie udało mi się ostatecznie ustalić, kto do niego należał. Najbardziej wiarygodni ludzie stwierdzają, że kierownictwo było wieloosobowe, a nawet, że go w obecnym sensie słowa nie było w ogóle. Była natomiast koordynacja prac nad podkopem i dokumentami. Mogę natomiast stwierdzić z całą pewnością, że organizacji w znaczeniu organizacji wojskowej, czy politycznej, nie było w ogóle. Moim osobistym zdaniem do kierownictwa podkopu nie należeli ani ppłk Kowalczewski, ani mjr Pronaszko, ani kpt. Wasilewski — zamordowani przez Niemców po wykryciu podkopu. Zostali oni zamordowani zupełnie niewinnie, bez dowodów, tylko na skutek podejrzeń, czy donosów.

Największą pracę przy wielkim podkopie wykonała grupa jeńców z kpt Zdżarskim na czele, a zwłaszcza por. Urbański, który zginął w ucieczce. Duże zasługi ponieśli też: kpt. Molenda, obecny pułkownik Ludowego Wojska Polskiego, ppor. Wojciechowski, obecny pracownik przedsiębiorstwa budowy Huty Warszawa, a także zamordowani w czasie ucieczki — oficerowie Tyrlik, Iwacyk, Fura, Filipek, Skrzymowski i inni. Oni to głównie wykonali podstawowe prace w wielkim podkopie. Nie udało mi się ustalić roli w podkopie ppor. Tadeusza Baumgarta, który uciekł podkopem jako kpr. Zwijacz. Wydaje mi się, że można przyjąć, iż rola ppor. Baumgarta była duża, nie mam jednak co do tego wyraźnych dowodów. Sądzę, że ta sprawa będzie jeszcze wyjaśniona. Oprócz bezpośrednich wykonawców, nad podkopem pracowało kilkudziesięciu jeńców, którzy pomagali na różne sposoby. Są to ci bezimienni, których pomoc była nieoceniona, często wcale nie mniejsza niż samych wykonawców.

Trzeba podkreślić wielką dyskrecję i powagę tej dużej grupy ludzi współdziałających, gdyż o podkopie i ucieczce do ostatniego momentu wiedzieli tylko ludzie zainteresowani. Żadna wiadomość nie dotarła też do Niemców. To znaczy, że V-Männer też nic o podkopie nie wiedzieli.

NOTATKA O ANONIMACH

EDWARD NADULSKI

PÓŹNA jesień 1943 roku. Armia Radziecka z dnia na dzień likwiduje wysunięte pozycje niemieckie na froncie wschodnim. Front zbliża się do granicy Bugu. Na jednym ze spotkań z tow. Szymonem (Wacław Bonat, członek Okręgowego Komitetu PPR w Lublinie) otrzymałem polecenie opracowania informacji o rozlokowanych niemieckich jednostkach wojskowych, zakładach pracy wykonujących zadania dla wojska oraz osobach narodowości niemieckiej z terenu miasta Lublina i najbliższych okolic. Zadanie dosyć trudne wobec warunków okupacyjnych i wyostrzonej czujności okupanta.

Zebranie materiałów było bardzo ważne. Miały one być pomocą dla oddziałów partyzanckich walczących w tych rejonach, jak również umożliwiać opracowywanie planów akcji lotniczej.

Rozważyłem sprawę z towarzyszami z komórki partyjnej PPR działającej przy Zakładzie Tytoniowym — tow. Antonim Popławskim i tow. Franciszkiem Soszyńskim (Mały) i ustaliliśmy, że najwygodniej będzie, jeżeli oprzemy informacje o jedną z sieci usług komunalnych, z których korzystały jednostki wojskowe oraz korzystali Niemcy zamieszkujący teren miasta.

Najdokładniejsze dane posiadała Elektrownia Miejska. Dział odbiorców niemieckich energii elektrycznej był jednak silnie zakonspirowany. Po dłuższych pertraktacjach tow. Soszyński uzyskał zgodę na współpracę od jednego z pracowników niższego szczebla w dziale niemieckim. Pracownik ten zgodził się udostępniać częściowo konta niemieckich odbiorców. Oczywista rzecz, że ta robota wymagająca szczególnych warunków nie mogła odbywać się w normalnym czasie pracy. Toteż ów pracownik i Franciszek Soszyński musieli wiele zabiegać, by pozwolono im przychodzić na kilka godzin do pracy w niedzielę.

Mimo wielkich trudności i niebezpieczeństwa uzyskane dane były dosyć dokładne. Wiedzieliśmy, jaka jednostka wojskowa jaką zużywa energię w stosunku miesięcznym, gdzie jest ulokowana. Znaliśmy kryptonimy i rzeczywiste nazwy.

Otrzymywałem materiał od tow. Soszyńskiego w odcinkach z każdej niedzieli. Po kilkunastu niedzielach, w miesiącu marcu 1944 r. zestawiliśmy z tow. Popławskim na podstawie całości odpowiedni wykaz. Wynik był co najmniej zadowalający.

Dowództwo II Obwodu Armii Ludowej za pośrednictwem tow. Szymona i tow. Niwy (Zygmunta Goławskiego) otrzymało potrzebne materiały. Zadanie zostało wykonane.

*

Wczesną wiosną 1944 r. po powołaniu przez Krajową Radę Narodową Armii Ludowej wiele oddziałów zbrojnych Gwardii Ludowej, Batalionów Chłopskich, Armii Krajowej — łączyło się pod jedno Dowództwo i Komendę Armii Ludowej. Z tygodnia na tydzień powstawały nowe oddziały partyzanckie. Potrzebny był sprzęt dla ich odpowiedniego uzbrajania. Bardzo istotne było posiadanie map.

Dzięki szczęśliwemu przypadkowi udało mi się nawiązać kontakt z pracownikiem Zakładu Kartografii przy tzw. dystrykcie lubelskim. Mieszkał on przy ulicy Przechodniej, na I piętrze. Nie pamiętam już dziś, niestety, nazwiska tego młodego, energicznego mężczyzny. Przypuszczam, że domyślał się, do jakich celów potrzebowałem map powiatów województwa lubelskiego. Były to dość dokładne opracowania miejscowości powiatów janowskiego, kraśnickiego, puławskiego, radzyńskiego, lubartowskiego i wielu innych. Otrzymywałem po kilka egzemplarzy map z poszczególnych powiatów. W parę dni, na umówionym spotkaniu za Wieprzem w Wólce Starej, przekazałem je tow. Szymonowi. Spodziewam się, że zostały one odpowiednio wykorzystane i ułatwiły wykonanie niejednego zadania.

*

Jednodniówka Zarządu Głównego Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Spożywczego wspomina o moim udziale przy wydawaniu tygodniowej gazety konspiracyjnej „Głos Ludu", organu konspiracyjnej Wojewódzkiej Rady Narodowej. Otóż moja część zadań polegała m. in. na zabezpieczaniu materiałów technicznych i redakcyjnych. Nie było to łatwe w warunkach okupacyjnych. Zdobycie materiałów takich, jak klisze białkowe, papier czy farba drukarska, wymagało, poza umiejętnościami, dużego wysiłku. W wykonaniu tych zadań współdziałałem z wieloma osobami, których nazwiska nigdy nie zostaną ujawnione.

Dziś mija dwadzieścia lat od tamtych dni, dni zmagań na śmierć i życie z hitlerowskim okupantem. W jednym z ostatnich numerów „Sztandaru Ludu" podane były krótkie relacje dowódców Gwardii i Armii Ludowej na Lubelszczyźnie, tow. Korczyńskiego, Moczara, Sidora — relacje i cyfry o działaniach i sile oddziałów partyzanckich na Lubelszczyźnie. W niniejszej zwięzłej notatce chciałem wspomnieć i o paru typowych wypadkach, kiedy różni ludzie współdziałali z nami zupełnie anonimowo, wspierając swoją cichą, a niebezpieczną pracą wyniki dziś znanych już wydarzeń historycznych.

Luźne kartki

JAN PARANDOWSKI

Uzyskany od Jana Parandowskiego dla „Kameny" fragment dziennika literackiego z lat 1944—1963, pochodzący z tomu, który się ukaże w tym roku, jest związany z pobytem pisarza w Lublinie i Ciechankach. — Red.

Dzików, 10.X.1944

Dworowi groził pożar: mówiono że już parę razy zajęły się gonty. I jak dotąd wydawał się bezpiecznym schroniskiem, tak teraz nikt już nie mógł utrzymać przerażonych kobiet. Kilka z nich wyszło zbadać piwnicę pośrodku sadu, gdzie składano na zimę warzywa. Wymiotły ją, doprowadziły do porządku, przyniosły materace dla wyścielenia wilgotnej ziemi. Do południa wszyscy się tam przenieśli. Toboły, walizy, kufry ułożono u wejścia do piwnicy, pod drzewami.

Schodziło się po kilku śliskich schodkach do głównej komory, za którą jakby alkierz była mniejsza z okienkiem nie większym od chustki do nosa. Tam umieszczono wczorajszą położnicę z noworodkiem, za nią wsunęło się jeszcze kilka osób. Reszta rozłożyła się w głównej komorze — parę tuzinów kobiet, mężczyzn i dzieci. Nawet w południe było tu ciemno, ktoś zawsze stał na schodach i zasłaniał światło od drzwi.

W ciągu dnia tylko najtrwożliwsi nie ruszali się ze swego kąta. Inni wychodzili, wracali, znów wychodzili. Jedzenie gotowano we dworze, który stał jeszcze. Noszono wodę. Przepakowywano bagaże. Ten i ów czytał książkę przed piwnicą, póki go nie spłoszył huk rozrywających się pocisków. Z drzew leciały liście i odcięte gałęzie. Na noc wszyscy wracali pod kruche sklepienie, które od jednej bomby mogło ich pogrzebać. Przed snem odmawiano wspólną modlitwę. Wtedy młoda matka karmiła swoje niemowlę, koło niej siedział stary człowiek. Ostatnie promienie słońca wchodziły przez okienko i jego łysa czaszka błyszczała między dwiema kępkami siwych włosów. Przypominało to obraz Świętej Rodziny.

Noce były ciężkie. Ciała śpiących ułożone jedno przy drugim nie zostawiały ani skrawka wolnej przestrzeni. Dzieci płakały, parę z nich miało koklusz. Co jakiś czas któremuś z nich potrzebny był nocnik: podawany z rąk do rąk wędrował tam i z powrotem, wreszcie wylewał go ten, co był najbliżej wyjścia. Ułomna półobłąkana staruszka robiła pod siebie. Chłopcy wyrywali się z zaduchu w chłodną gwiaździstą noc nie dbając o rozrywające się pociski. Tam, w sadzie, po dawnemu istniał świat, na którym księżyc wschodził i gdzie niezebrane głowy kapusty błękitniały w jego poświacie.

Pewnej nocy zaczął padać deszcz. Przez okienko, którego nie dało się zamknąć, sączyła się woda. I u wejścia zebrała się kałuża, która powoli przeciekała na schodki. Nikt z dorosłych nie spał tej nocy. Wszyscy leżeli bez ruchu, z otwartymi oczami, jakby wpatrzeni w klepsydrę. Po godzinie deszcz ustał. Szły znów gorące dnie i pogodne noce.

Oficerowie i żołnierze rosyjscy zachodzili w różnych porach, opowiadali nowiny, przynosili gazety. Czytało się w nich niezmiennie: „Na odcinku sandomierskim lokalne walki". Ten zastój objawiał się niemilknącą kanonadą, wybuchami bomb, świstem pocisków. W alei lipowej przybywało grobów. Niemcy byli o parę kilometrów, raz zbliżyli się tak, że widziało się ich jak na dłoni. Nocami płonęły na niebie łuny.

Ziemianki i okopy rosyjskie szły środkiem sadu, o kilkanaście kroków od naszej piwnicy. „Nie możecie tu dłużej zostać" — mówili żołnierze. Gdy to samo zaczęli powtarzać dowódcy, wybiła godzina przeprowadzki. Wśród niezmąconej pogody letniej ruszono małymi gromadkami, każda rodzina osobno. Irena, w ciąży, opierała się na moim ramieniu. Miała przejść parę kilometrów do wsi, gdzie było spokojniej. Szła dwie godziny.

— Którego dzisiaj? — zapytała, gdy posadziłem ją w fotelu, który wyniesiono z opuszczonego dworu.

— 23 sierpnia.

Było to na miesiąc przed urodzeniem Piotrusia.

Ciechanki, 11 stycznia 1945

Święty Franciszek nie wspomina o bracie śniegu. Znał go zbyt mało. Niechże mi więc wolno będzie dorzucić do Kantyku ten oto werset:

Bądź pozdrowiony, Panie, przez pana braciszka Śnieg, który jest biały i cichy, i błyszczący, a równa się Twojemu niebu w miriadach swoich gwiazd. I który tworzy niepojęte dziwy.

Chodziłem wczoraj po parku wieczorem. Była pełnia. Księżyc kąpał się w mlecznych obłokach, zapadał w nie jak w burzliwe fale, to znów wynurzał się uśmiechnięty i promienny niecąc skry w śniegu. Cienie drzew, majestatyczne w swym bezruchu, skupiały i pogłębiały ciszę. Przeżyłem godzinę, której tylko baśń mogłaby sprostać.

A dziś z rana, wyjrzawszy oknem, oglądałem dalszy ciąg białej bajki, świetlisty i błękitny. Czysty, mroźny dzień skrzył się w śniegach, ostatnie chmurki, różowe i złote, czepiały się wysokich lip, wsiąkały w ich rudawe korony.

Ciechanki, 28 lutego 1945

Dostaliśmy w końcu wiadomość o naszym domu w Warszawie — bardzo smutną. P. Kreczmar, który tam zaszedł, zastał dom mało z zewnątrz uszkodzony, ale w środku całkowita ruina. Na naszych drzwiach wisiała tabliczka z moim nazwiskiem. W mieszkaniu tylko popioły po spalonych meblach i bibliotece. Tak więc zbrodniarze zniszczyli mi bibliotekę, wierną towarzyszkę od piętnastego roku życia, która rosła i dojrzewała razem ze mną i z moją pracą. Zniszczyli mi listy, notatki, rękopisy, wycinki prasowe — rzeczy nie do odzyskania. Zniszczyli wszelkie pamiątki, począwszy od zielonego garnituru foteli, po których skakałem jako dziecko, od stołu, na którym mię chrzczono i gdzie zawsze było u nas święcone, a kończąc na drobiazgach, oczywiście bezcennych, jak drobne pamiątki, fotografie. Nie posiadamy już nic. Zerwała się raz na zawsze ciągłość, tradycja domowa i wszystko, co teraz będzie, będzie nowe i wiele czasu upłynie, zanim stanie się własne, zanim nasiąknie tą swojskością, którą posiadają tylko przedmioty odziedziczone i te co przetrwały z nami długie lata. Cisną się do pamięci rzeczy, których już nigdy nie zobaczę, nie dotknę. Nie mogę jeszcze pojąć, że nie zasiądę przy swoim biurku, które dostałem w siódmej klasie gimnazjum, albo przy tym drugim, które było w domu na długo przed moim urodzeniem. Ono właśnie służyło mi w latach okupacji, przy nim pisałem swój „Rzym", który też pewnie nie istnieje, choć dałem dyrektorowi Piątkowi dwie kopie maszynowe.

Czerwiec 1945

Myślę o czekającym nas nowym życiu literackim. Ogromny ubytek ludzi zdolnych i twórczych, wyniszczenie podstaw życia kulturalnego, jakim była dezorganizacja szkół, zamknięcie uniwersytetów, zagłada bibliotek, nie może pozostać bez wpływu na lata najbliższe. Lecz niedostatki, jakie stąd wypłyną, zostaną wyrównane z nadwyżką przez kapitał moralny, zdobyty wśród klęsk, cierpień, poświęceń. Podniesione zostaną wielkie ideały ludzkości — godność człowieka i wartość jednostki, wielkie ideały narodowe, użyźnione miłością ojczyzny w jej przeszłym i teraźniejszym bycie, ukochanie świata, którego upajająca uroda dała się poznać w dniach najcięższej niedoli, kiedy szum drzew, blask słońca, przepych kwiatów urzekał swą wiekuistą baśnią o szczęściu, dostępnym wszystkiemu co żyje. Tak sobie wyobrażam i tak pragnę widzieć literaturę polską nadchodzących dni.

Lublin, jesień 1945

Sto lat temu pisał Krasiński do Delfiny: „Mnożność głupstwa jest przesilaniem się głupstwa, a zatem rozumu początkiem; mnożność złego to jutrzenka dobra".

A do Trentowskiego w parę lat później: „Gdy złe chce stać się nieskończonością, przesięga poza granicę natury swej skończonej i pryska i pęka i ginie".

A może to dla nas było pisane i my powinniśmy brać z tych słów naukę i otuchę?...

Lublin, listopad 1946

Fakt, że postaci literackie wydają się bardziej żywe od ludzi żywych objaśnia się tym, że żaden człowiek nie może nam być tak znajomy, jak postać z dramatu, jeszcze bardziej powieści. Nawet najbliższe osoby znamy tylko w urywkach, zazwyczaj błahych, literacka zaś postać odkrywa nam swoje wnętrze: jej czyny, myśli, nawet sny są widoczne, żywy człowiek nigdy nie może być tak przeźroczysty.

I postać literacka ma nieporównanie dłuższe życie, a przy tym niezmienne. Umarły, nawet najbliższy, po paru latach zachodzi mgłą, już go się ledwo widzi, prawie nie rozumie. Odysowi nawet dwa i pół tysiąca lat nie odebrało życia.

Lublin, kwiecień 1946

Niemcy, przedstawiając dzieje swego humanizmu, wprowadzają długie szeregi nazwisk i dzieł i dają złudzenie bogactwa. W rzeczywistości jest tam wielki tłum, roi się wszędzie od ludzi piszących łacińskie traktaty lub wiersze, ale są to przeważnie miernoty. Jest w nich zaduch prowincji. Wkrótce wpadają w zamęt reformacji i prawie wszyscy stają się bojownikami protestantyzmu. Bałwochwalczy kult Lutra przypomina niekiedy opętanie Hitlerem.

Przypomnijmy sobie, jakim świętem humanizmu był sobór w Konstancji lub Florencji, jaka tam była atmosfera intelektualna, jaki wspaniały entuzjazm w odkrywaniu i interpretowaniu starożytności. A oto w roku 1518 sejm w Augsburgu. Istny kongres humanistów niemieckich. I co się o nim mówi? „Najpiękniejsze widowisko! Tylu książąt młodych i urodziwych, taki tłum hrabiów i rycerzy, kwiat szlachty niemieckiej! Gdyby dziś Niemcy posiadali tyle mózgu, co siły, zagroziłbym światu podbojem". Kto to mówi? Humanista, jeśli się godzi utrzymać przy jego nazwisku ten szlachetny tytuł — Ulrich von Hutten.

Lublin, kwiecień 1946

Gorąco, w cieniu 17 stopni. Pełna wiosna, choć jeszcze szara. Tylko drobiazg się zieleni: agrest, maliny. Pełno owadów — wypełzają spod kamieni, ze szczelin wciąż nowe, coraz dziwniejsze, nieznane. Myślę o Fabrze i widzę, jak z rana rusza na zwiady. Otrząsa z rosy trawę, splątane krzewy. Wie wszystko. Gdybym mógł być z nim, każda z tych drobnych istot dostałaby swoje imię, swój ród. Dreczy mnie ich bezimienność. Adam w Raju wziął władzę nad światem wtedy, kiedy wszystkiemu co żyje nadał imiona.

Listopad 1946

Odkąd istnieje człowiek, szczęście było jego najwyższym dobrem i celem życia na ziemi. Powodzenie, spełnienie swoich pragnień, dobrobyt, spokój, bezpieczeństwo, wygoda — tysiące atrybutów tej rzeczy z pozoru zmiennej i nieuchwytnej, a jednak stałej w swoich zasadniczych cechach, jaką jest szczęście marzone przez ludzkość, nie nastręczają żadnych wątpliwości, że są cenne i pożądane — dopiero dzieje literatury dają inną odpowiedź. Niewielu było pisarzy szczęśliwych, a najmniej można ich znaleźć wśród wielkich. Pióra, wyzłocone uśmiechem fortuny, rzadko zapisywały się wśród gwiazd.

Wyobraźnia, intensywność uczuć, wolność myśli z orszakiem towarzyszących im kaprysów, namiętności, buntów zawsze narażały pisarzy na niepowodzenia, konflikty, klęski i cierpienia. Były to często porażki błogosławione — tak sądziła potomność, znosząc lekko niedole pisarzy. Gdyby nie okrucieństwo Augusta, nie posłyszelibyśmy płaczu Owidiusza, który do pięćdziesiątego roku życia był rzadkim w literaturze uosobieniem szczęścia. Gdyby nie więzienie, nigdy by poezja Oskara Wilde'a nie uroniła tej krwawej łzy, jaką jest „Ballada więzienna". Cóżbyśmy zyskali, gdyby Dante był w zgodzie ze stronnictwami politycznymi Florencji i zamiast wygnania i najsurowszych wyroków śmierci otrzymywał kolejno wszystkie godności i zaszczyty, do których dążył? Mamy prawo się obawiać, że wtedy „Boska komedia" nigdy by nie powstała. Gdyby stary Wereszczaka mniej lekceważył drelichowe szlachectwo Mickiewicza i oddał mu Marylę, nie tylko nie byłoby IV części Dziadów, ale cała adamowa poezja zwiędłaby wśród dostatków tuhanowickich i spokojnej miłości małżeńskiej.

Pewien dowcipny historyk angielski napisał książkę pt. "The "ifs" in the history" snując domysły, jakby się inaczej potoczyły dzieje przy zmianie pewnych okoliczności. Podobną rzecz, nie mniej malowniczą, można by napisać z historii literatury zmieniając owym „gdyby" bieg życia wielkich twórców. Oni sami zresztą znali wartość cierpienia jako żywiołu twórczego i nierzadko przyjmowali je jako dar losu. Umieli sobie stwarzać urojone, jeśli zabrakło rzeczywistego. Romantycy gardzili szczęściem — rumianym, pucołowatym, wulgarnym bożkiem. Neciły ich bunty, prześladowania, bezdomne noce na wietrznych polach, była im potrzebna heroiczna samotność, przeklęte odludzie i zaznawali dzikiej rozkoszy na ruinach swojego domu, swojej rodziny, swojej przyszłości. Gdy romantyk porastał w spokój i dobrobyt, przestawał śpiewać, jak przekarmiony ptak.

Lublin, maj 1947

Ubawiłem swoich słuchaczy opowiadając niedawno na wykładzie starą anegdotę o tym, jak ktoś skomponował egzamin, który Goethe zdaje przed gronem osiwiałych profesorów, jak plącze się w odpowiedziach dotyczących własnej biografii i twórczości. Po długiej debacie przyznają mu stopień dostateczny. To był żart, ale rzeczywistość nie da się zawstydzić takim żartom. Oto w jednym ze swoich pism Goethe, mówiąc o kobietach, które kochał, zatrzymuje się przy jednym imieniu i wyznaje: „Tę naprawdę kochałem najwięcej ze wszystkich". Uczony komentator zaopatrzył to zdanie gwiazdką, a u dołu stronicy dał notkę, zaczynającą się od słów: „Hier irrt Goethe..."

Lublin, maj 1947

Wiele na to wskazuje, że pamiętniki będą znamiennym rodzajem literackim naszej epoki. Jednostka sponiewierana, zdeptana, wepchnięta w masę, zagubiona w wielkich liczbach statystyki życia i śmierci, które się zaokrągla dla uproszczenia rachunku, ta nieważna jednostka szuka siebie w tym, czego nikt nie może odebrać najlichszej istocie ludzkiej — we wspomnieniach. To jest drugie, obok snu, niepodzielne królestwo człowieka.

Jedynie tam posiadał niewolnik samotność i tam odnajdywał siebie jako centrum zdarzeń. Stąd waga osobistych przeżyć, dla wszystkich bez mała jedyna busola wśród zamętu świata. Gdy niepodobna nic wyjaśnić, gdy natłok faktów urąga wszelkim usiłowaniom, by stworzyć z nich zrozumiały i uporządkowany obraz, oglądając je z zewnątrz, wtedy narzuca się nieodparcie rozpamiętywanie własnego bytu, wydanego na łup zerwanych z wędzidła sił historycznych.

Z WYSTAWY W MUZEUM NARODOWYM W WARSZAWIE „SZTUKA CZASÓW MICHAŁA ANIOŁA"

Polidoro da Caravaggio Walka Lapitów z Centaurami

Stanisław Piętak, zmarł 27 stycznia 1964 r.

Ostatni uśmiech Jasia Kunefała

WACŁAW GRALEWSKI

PRZECZYTAŁEM słowa, które uderzyły mnie prostotą wyrażonej myśli. Jeśli źródłem jej była głęboka wiara w prawdę wypowiedzi, to autor miał ziarno wielkości w sobie.

W ciemnym zagaju stoję skupiony i blady
od dziś trzeba walczyć o wielkość, by żyć.

Zapewne każdy człowiek ma w sobie odrębną zaszyfrowaną treść, choć pozornie tak jesteśmy do siebie podobni. Człowiek naznaczony stygmatem wielkości musi tę wielkość zdobyć lub zginąć. Tertium non datur.

Ilustracją tego problemu jest twórczość Stanisława Piętaka. On to wypowiedział przytoczone słowa w młodzieńczym wierszu „Epilog".

Biorę do ręki tomik wierszy zatytułowany „Alfabet oczu", którym Piętak debiutował w Lublinie w 1935 roku. Tomik ukazał się jako Nr 1 „Biblioteki poetyckiej miesięcznika „Dźwigary". Wydrukowany w lubelskiej drukarni „Popularnej".

Młody autor wypisał mi na tomiku dedykację: „Wacławowi Gralewskiemu — słowa sympatii, ku pamięci miłej rozmowy o dziwnościach świata i człowieka".

Czytam ze skupioną uwagą młodzieńcze, ale z pasją pisane wiersze i odtwarzam w swej pamięci ową daleką rozmowę „o dziwnościach świata i człowieka".

Pamiętam, że w twórczości Piętaka uderzyła mnie jedna dość niecodzienna cecha. Oto cytatami z tej twórczości można by napisać biografię poety. Nie żeby zespół wierszy miał charakter curriculum vitae, ale że znalazły się w nich wszystkie najważniejsze akcenty. Właśnie zwróciłem mu na to uwagę. Uśmiechnął się. Spostrzegłem, że uśmiech jego nie był zdawkowym pokwitowaniem stwierdzenia. Stał się raczej wypowiedzią wyręczającą słowa. Często później spostrzegałem, że autor „Alfabetu oczu" wyręczał się w dyskusji uśmiechem. Nawet wtedy, kiedy użycie słów zdawało się jest konieczne. A gdy znów mówił, uśmiech ginął z jego twarzy. Może był energią, która przybierała różne postacie.

Rozmowa, która trwała całą noc i toczona była we wszystkich zakamarkach Lublina, obracała się dokoła zagadnienia dość programowego: czy twór poetycki ma być konstrukcją niemal architektoniczną, czy też zlepkiem wolnych skojarzeń.

Jako nałogowy konstruktywista broniłem pierwszego poglądu. Wskazywałem na wiersze Piętaka, które stanowią obfity zbiornik wielce oryginalnych skojarzeń, przybierających często formę osobliwych metafor i przenośni. Ale w przypadkowym układzie stanowią jakby nagromadzenie wartościowych materiałów budowlanych, które czekają na architekta.

— Przecież tak tworzyli najwięksi — zawołałem. — Notowali skrupulatnie każdą myśl, każde słowo, każde porównanie, a potem siadali przy biurku i długie godziny spędzali nad właściwym uszeregowaniem i powiązaniem zanotowanych myśli...

— Poświęcił pan, panie Stasiu, swój „Alfabet oczu" Czechowiczowi, którego twórczość jest dla pana wyraźnie źródłem inspiracji. Jest w wierszach pana często klimat czechowiczowski i skłonność do podobnego jak on obrazowania, a nie ma jego warsztatowej dyscypliny! Czechowicz zmagał się z wierszem jak Jakub z Aniołem, często potykał się mocno, ale nie ustępował. Słowa przez siebie wybrane podporządkowywał melodii i rytmowi wewnętrznemu, dlatego jego utwory są muzyką słów. U pana przeważają obrazy, które nasyca pan barwą, a mimo to nie są one dostatecznie plastyczne, bo i kolor trzeba poddać odpowiednio wybranej dyscyplinie. Kto wie — jeśli to wszystko, co nagromadzone jest tutaj z wielką pasją, potrafiłby pan przeistoczyć w jeden tylko uśmiech, stałby się pan wielkim poetą.

Piętak otworzył usta, jakby za chwilę miał wybuchnąć głośnym śmiechem, ale miast niego pojawił się właśnie tylko uśmiech dziecka, które z zadowoleniem będzie klaskać w rączki.

— Poruszył pan we mnie jakąś dziwną strunę, która zdaje mi się dość długo będzie we mnie dźwięczeć — powiedział cicho.

— A że mam rację — znów podjąłem swą myśl — przytoczę argument z pańskiego ogródka. W wierszu „Pejzaże ze snu" jest zwrot:

Zgłoski na ustach są błękitnym szkłem
nie mogę złączyć słów

Zadumał się z lekka i głowę pochylił.

— Może ma pan trochę racji — dodał półgłosem.

Obraz przeszłości odpłynął. Znów zagłębiam się w lekturę. Spostrzegam, że Piętak niemal obsesyjnie używał słów: *błękit, krew, ślina*. Niemal każdy utwór je zawiera.

W wierszu „Dzieciństwo" — *„usta zapalone od stukotu krwi"*, „Pierwsza podróż" — *„pokłutym mózgiem rozbiłem w siwą ślinę martwej ciszy dzban"*.

W wierszu „Dynów" — *„wtedy oplułem drożyny świerszczy zatrutą smutkiem krwią"*.

W wierszu „Spotkanie" — *„rosła nad głową długo dysząca błękitna topiel"*. I w tym samym wierszu — *„gdy Maria pokrwawiła błękitną dolinę ustami"*. I w zakończeniu tegoż wiersza — *„na Marię musiałem splunąć"*...

W wierszu „Dzień z igieł" — *„zakrwawiły się oczy od żegnania błękitu"*. I dalej — *„rozszarpałem z odrazy zębami uśmiechnięty błękit"*, oraz — *„robactwo, szczaw i strąki akacji pomieszane ze śliną"*.

W wierszu „Halucynacje" — *„dlatego przestaś szeleścić udami, one palą, jak zagotowana krew"*.

I w wierszu „Powrót" — *„z ust snują się karminowe płateczki, w błękitniejącej ślinie śpiewa wiatr"*.

Wypowiadanie tych słów poeta odczuwa jako przymus. Walczy z nim.

„Kto mówi o krwi? Jej nie ma, jest tylko zapach ziemi" — woła w zakończeniu wiersza „Powrót".

Jakie było źródło tego przymusu, co zmuszało poetę do wydobywania z siebie tych kanciastych i niewątpliwie brutalnych skojarzeń? Przyczyna była prosta. Choroba, ciężka choroba płuc, potem równie ciężkie jak i groźne zapalenie mózgu, z którego cudem się wykaraskał, głodne i chłodne dzieciństwo w wieśniaczej ubogiej chacie, konflikty wewnętrzne i zderzenia postawy wewnętrznej z otaczającą go rzeczywistością.

O tych sprawach pisał Piętak w swej autobiograficznej powieści „Młodość Jasia Kunefała".

Był ambitny i pracowity. Walczył z uporem o swą wielkość, bo wiedział, że jeśli walczyć przestanie, to zginie. Taki był jego wewnętrzny szyfr.

Wacław Mrozowski w swej „Cyganerii", będącej obrazem warszawskiego „wspólnego pokoju", pokazuje, jako naoczny świadek, Piętaka skupionego, ciągle coś piszącego i wyraźnie budującego swą drogę w przyszłość.

Przed wojną napisał i wydał oprócz „Alfabetu ócz" i wymienionej powieści, jeszcze „Legendy dnia i nocy" (poematy), „Ziemia odpływa na zachód" i „Obłoki wiosenne".

Po wojnie, w Polsce Ludowej rozwinął szerzej skrzydła, wydając kilkanaście tomów poezji i prozy, jak „Ucieczka z miejsc ukochanych", „Front nad Wisłą", „Matnia", „Plama", „Imię przyszłości" i inne.

Zakończył swój cykl twórczy tomem wspomnień. W sumie ponad dwadzieścia pozycji.

Mieszkał w Warszawie. Spotykaliśmy się od czasu do czasu, zamienialiśmy kilka czy kilkanaście serdecznych słów, ale już nigdy nie wszczęliśmy długiej rozmowy. Niemniej te przelotne spotkania były żywymi akcentami czegoś, co rozumie się samo przez się.

Piętak niewątpliwie dojrzewał coraz bardziej. Zdawało się, że zbliża się szybko czas, kiedy powie swoje najważniejsze poetyckie słowo, to co pozostanie i będzie wykładnią całej jego twórczości.

Spotkałem go bodaj w pierwszych miesiącach ubiegłego roku na jakiejś konferencji. Szedł ku mnie jakby otoczony mgłą. Przywitał się niemal odruchowo, a potem spojrzał i powiedział: — a, przepraszam, zamyśliłem się trochę... I poszedł dalej z pochyloną głową.

Po zebraniu zobaczyłem go jeszcze raz w drzwiach w gromadzie wychodzących. Patrzył w moją stronę, kiwał ręką i uśmiechał się, tak jak dawniej, ale jakby bardziej intensywnie.

Nigdy go już nie widziałem.

Odszedł niespodziewanie.

Pochylony nad jego wierszami widzę wyraziście ten ostatni uśmiech. Być może był wyrazem poezji, której nie zdążył już wypowiedzieć, i ostatnim akcentem tamtej przed laty toczonej rozmowy. Pozostawił mi wrażenie smugi przewiniętej przez lunatyczną mgłę.

Gdy wrastasz nad ranem w obnażony księżyc,
nie uśmiecham się od drzwi.
Wiem — kołować będziesz topieliczny, smutny
do ostatnich dni.

W CENTRUM UWAGI

ZYGMUNT MIKULSKI

STAŁO się z pominięciem statutu, że doroczny zjazd Związku Literatów Polskich w r. 1963 nie został zwołany. „Wykroczenie" to wziął na swoje sumienie aktualny Zarząd Główny, który jednomyślnie ze zjazdu zrezygnował. W praktyce ta drobna nieformalność nie ma znaczenia. Zamiast zjazdu odbyło się tzw. rozszerzone plenum Zarządu Głównego obejmujące szeroką reprezentację związkową, a daty 17 i 18 stycznia 1964 r. są spóźnione w stosunku do „statutowych" zaledwie o parę tygodni.

Tak więc z formalnego uchybienia strata nie wynika, natomiast z przebiegu samego plenum ocenionego *ex post* — zysk widoczny. Polega on na tym, że w przeciwieństwie do dyskusji poprzednich — w których nawet pojawiały się głosy o niecelowości corocznego zwoływania zebrań — obecna dotyczyła szeregu zasadniczych problemów współczesnego życia literackiego. Na wokandzie nie stanęły wyłącznie sprawy bytowe i materialne pisarzy zapełniając porządek obrad sumą sprawozdań i dezyderatów, ale doszło do szerokiej wymiany poglądów w kwestii oceny dotychczasowego dorobku literatury, jej społecznego znaczenia, różnorodności stylów itp.

Dobiegające pełni dwudziestolecie zawarło zbyt wiele zjawisk i ewenementów, by dokonanie dokładnej ich analizy było możliwe za pośrednictwem wprowadzającego referatu. Inne też zadanie postawił sobie prof. Jakubowski. Wziął pod uwagę okres ubiegły ze stanowiska raczej historyka — gdyż współczesność zawiera nadmiar umykających jednolitej ocenie objawów kontrowersyjnych — perspektywę zaś rozwojową literatury nakreślił w paraleli do jej zadań społecznych powołując się na wielki przykład pisarstwa Żeromskiego. Możliwe, że zawiedziony został w ten sposób nawyk dosłuchiwania się cenzurek, niemniej jednak takie postawienie sprawy nie wydaje się bez uzasadnienia. Łatwo na bazie pewnych teorematów — czego byliśmy świadkami kiedyś — tworzyć indeksy stylów, tematów, a nawet nazwisk w fałszywym przekonaniu o służeniu literaturze, kiedy się jej odbiera jeden z zasadniczych czynników rozwoju: stan dyskusyjności. Chodzi o co innego. O to, by w całej rozciągłości zachowując postulat społecznego oddziaływania literatury, jej wychowawczej i humanizującej funkcji nie rezygnować z szerokiego wachlarza stylów, czy postaw wynikłych w ogóle z rozwoju współczesnego życia i kultury. Jest to chyba podejście obustronnie słuszne. Unika tego błędu, który popełniany kiedyś w naiwnie upraszczający sposób łączył pewne ideologiczne treści z „wytypowanym" rodzajem środków artystycznych.

Ale nie tylko to do przezwyciężenia ma literatura współczesna. Również — co szczególnie wyraziście zostało ukazane na XIII Plenum KC PZPR — pewne nawyki przemycania importowanych nastrojów i światopoglądów pod płaszczykiem formalnego eksperymentu. Dotyczy to szczególnie młodych prozaików, którzy przez literacki snobizm ulegają modzie na uczucia przygnębienia, bezwładu, frustracji, jak w zakresie stylistyki powielają sezonowy wzorzec antypowieści. Skąd to pochodzi? Niewątpliwie z braku własnych doświadczeń życiowych. Kiedy się nie ma zdań i treści własnych, z dużą łatwością podlega się asymilacji środowiska, przyjmuje się barwę ochronną. Zwykle nowatorzy „drugiego rzutu" byli już epigonami pozorującymi marsz krzykliwością gestów. Pisarstwo Nowakowskiego, czy Brychta, którzy opisywane przez siebie środowiska — przeciwnie — znali dość dobrze, świadczy właśnie na korzyść tezy. Tylko: i jedni, i drudzy zaniedbali pewnych koniecznych proporcji w widzeniu świata, proporcji na dłużej niemożliwych do pogwałcenia pod groźbą nieadekwatności obrazu. Stąd to pisarstwo zanadto długo pozostające jakby na przedłużeniu „literatury rozrachunkowej", a właściwie marginesowe w stosunku do istotnych życiowych i społecznych problemów samo zaczynało tracić perspektywę. „Tym starym złodziejem", „Benkiem kwiaciarzem" i „Silną gorączką" ta postawa została już chyba wyeksploatowana do końca. Nie starczy jej na światopogląd.

W centrum pisarskiej uwagi stoi również zagadnienie socjalistycznych treści literatury. Pojętych — rzecz naturalna — w sposób szerszy, aniżeli fabrykowanie schematycznych obrazków. Wizja człowieka współczesnego nie może być zubożona do jednej jego strony: udziału w produkcji. Stąd też nie mogą uchodzić za „niesocjalistyczne" problemy z dziedziny psychologii, moralności, obyczajowości, którymi literatura każdego kraju i czasu żywi się w sposób naturalny. Przykładem może być tu literatura radziecka, która w ostatnich latach wykazuje specjalne wyczulenie na zjawiska zła społecznego będąc przez to literaturą humanistyczną i socjalistyczną we właściwym, a nie wypaczonym tego słowa znaczeniu. Nie tematyka i nawet nie poetyka utworu są istotne dla jego takich, czy innych kwalifikacji ideologicznych, ale ogólna teza, która zeń wynika. Błędem więc jest, jeśli ocena ideowa wychodzi z pozycji formalnie-artystycznych, gdyż wtedy odbywa się mierzenie niewłaściwą miarą.

Z tym oczywiście, że wielki temat współczesności w polskim pisarstwie wciąż domaga się swego wyrazu. Życie i jego nieustanne przemiany dostarczają wielu sposobności do artystycznego ujęcia, stąd też pisarz współczesny obowiązany jest dokumentować artystycznie rzeczywistość, w której żyje. Podołanie swemu czasowi — to zasadnicza legitymacja każdej literatury. Jeśli w szeregu spełnień pisarskich czujemy smak dnia dzisiejszego, jeżeli najwybitniejsze utwory obecnej produkcji literackiej poruszają centralną problematykę człowieka drugiej połowy XX wieku — dzieje się to wskutek wyczulenia na sprawy dotykające najbardziej, bo sprawy aktualne. Tego wyczulenia od literatury polskiej oczekują jej czytelnicy, oczekuje wiecznie zmienne i ciekawe współczesne życie.

Z takim przeświadczeniem wychodziło się z sali plenowych obrad. Tak więc formalne uchybienie skompensowane zostało z nawiązką przez dyskusyjny ferment i żywą atmosferę zgromadzenia. Podobnego ożywienia spodziewać się chyba należy również na najbliższym walnym zjeździe, który z racji 20-lecia odbędzie się w mieście, gdzie literatura Polski Ludowej wzięła swój początek: w Lublinie.

Listy o poezji

POETA — pięć minut przed końcem świata

ANNA KAMIEŃSKA

„Kilkanaście stuleci mówienia powinno nas było nauczyć rozróżniania prawdy od kłamstwa".

T. Peiper
(Szósta! Szósta!)

A JEDNAK nie nauczyło. Nie jesteśmy może pod tym względem dość pojętni. A może po prostu nie żądamy tej nauki. Nie po to używamy języka, aby mówić prawdę. Język zbyt często jest nam potrzebny do ukrywania prawdy, przedrzeźniania i pozorowania jej. Może dlatego ani w sztuce, ani w literaturze nie może być mowy o postępie, tak widocznym w rozwoju nauki. Zmienność — przeciwstawianie się i nawroty — tak raczej przedstawia się falista linia tego, co nazywamy rozwojem sztuki lub literatury. Poezja również wbrew szlachetnej naiwności nowatorów z początku XX wieku uważających siebie za odkrywców języka — nie jest sztuką mówienia prawdy. Ten mit należy włożyć w bezpowrotnie miniony „wiek złoty".

Ale nie oskarżajmy jedynie artystów i poetów. Może to nie ich wina. Oni starają się mówić prawdę — przyjmijmy to założenie — tylko że prawda nie była nigdy i nie jest ani prosta, ani jedna. Może to wina samej prawdy, że „stulecia mówienia" nie nauczyły nas rozróżniania jej od kłamstwa.

Problem funkcji, zadań i miejsca poezji stanowił dla poezji zawsze temat sam w sobie. Teatr w teatrze, poezja o poezji — oto problem nie tylko artystowski, nie tylko zawodowy, przeznaczony dla kręgu twórców, temat elitarny. To problem raczej o charakterze moralnym, to wielokrotne próby określenia miejsca artysty w świecie, wśród ludzi, usiłowanie sformułowania sensu sztuki, czasem obiektywnego sensu, filozoficznego lub społecznego, czasem zaś wyłącznie psychologicznego wyczerpującego się w doznaniu twórcy sztuki.

Gdyby ktoś prześledził wszystkie określenia i definicje „zawodu" poetyckiego, wszelkie metafory, jakie ukuli sami poeci dla własnego zajęcia, byłoby to wielce pouczające i pomocne dla zrozumienia zmiennej funkcji sztuki. Wszak nie zawsze stawiała ona sobie za zadanie wzniosłe i dumne hasło mówienia prawdy.

Sądzę, że historyk, który by prześledził te sprawy, dostrzegłby w kapryśnej zmienności zjawisko dość znamienne. Upadek prestiżu i stanowiska poety, jakie sami poeci współcześni sobie przyznają. Nie ma już wieszczów ani kapłanów sztuki, nie ma nawet mistrzów. Jeden Przyboś nazywa poetów ciągle „dziatwą Apollina", ale jakoś do synostwa tego nikt więcej się nie przyznaje.

Poeta — wieszcz był postacią okresu magicznego poezji. Poezja była wówczas tak, jak i dziś, niezrozumiała i to programowo nierozumiała. Formuły i zaklęcia magiczne — były to ciemne poematy dla wtajemniczonych. Rodziła je wiara w słowo, słowo stwórcze i sprawcze. Samo wypowiedzenie słowa lub formuły było aktem, działaniem. Wszelkie magiczne zaklęcia baśni ludowych są reliktami tej właśnie magicznej funkcji słowa, tak jak i niezrozumiałe refreny pieśni obrzędowych, np. weselnych. Napisy ryte na grobowcach egipskich były takimiż magicznymi poematami. Poeta-mag stawał się poetą-kapłanem, poetą obrządku, kiedy słowo magiczne skostniało, a wiara w słowo zamieniła się w obrzęd. Ileż reliktów tego stanu rzeczy przetrwało do dziś dnia, choćby obyczaj składania życzeń, choćby proste pożegnalne „bądź zdrów!". Wiara w sprawczą moc słowa stała się konwencją towarzyską.

Renesans wracając do antyku grecko-łacińskiego rozwinął koncepcję artysty-artifexa-mistrza. Piękna forma, robota, snycerstwo i związana z tym ideą Bona jako najwyższego artysty, budowniczego.

*...Tyś niebo zbudował
I złotymi gwiazdami ślicznieś [uhaftował.
Tyś fundament założył nieobeszłej [ziemi,
I przykryłeś jej nagość zioły [rozlicznemi...*

wołał w zachwycie dla dzieła sztuki — świata, mistrz Jan z Czarnolasu. Bóg artysta, a więc w swoim zakresie i poeta jest bogiem, stwórcą.

Stąd niezliczone późniejsze terminowanie i czeladnictwo u wielkich mistrzów, wyraz udanej lub prawdziwej skromności i pokory wobec sztuki przeszłości.

Od mistrza — jedynie krok do sztukmistrzostwa, wirtuozerii, igrania formą, do zabawy i rozkoszy formy — w baroku i neoklasycyzmie.

Dalej sprawy potoczyły się dla polskiej sztuki specyficznie. Konieczność naprawy Rzeczypospolitej obciążyła poezję tzw. troską obywatelską i uczyniła z artystów sumienie epoki. Swoisty obywatelski moralizm stał się niemal obowiązkiem każdego poety. W wędzidłach tego obowiązku łamali się poeci o bardziej kruchej konstytucji, wrażliwi lirycy i obrońcy niezależności duchowej artysty.

W sytuacji klęski narodowej poeci zostali znów obarczeni rolą wieszczów i kapłanów sprawy narodowej (jakże chętnie mówiono: ołtarzy). Poeci dość ochoczo wskakiwali w szaty kapłańskie i poprawiali na sobie już za życia brązowe fałdy pomników. Poza tym byli rozdarci, tragiczni, cierpiący za miliony i w każdym wypadku wzniośli. Słowo: rzemiosło w odniesieniu do sztuki byłoby czymś w epoce romantycznej wysoce niestosownym. Mówiono wiele o natchnieniu.

W tym okresie niepomiernie wzrosła w Polsce rola i funkcja poety, jak i zresztą w ogóle rola literatury. Dzięki niej Polska jedynie mogła istnieć i cokolwiek znaczyć na forum Europy. Nawet ofiary krwi przelewanej „za naszą i waszą wolność" nie były dla bytu narodowego argumentem silniejszym niż słowa poety. Tak dalece społeczeństwo przyzwyczaiło się do wynoszenia poetów ponad tłum, że nawet Konopnicka została okrzyczana „wieszczką", a przez malarzy przedstawiana była po swej śmierci jako skrzydlata anielica z liryą w ręku w oparach mlecznej drogi.

Dopiero na tym tle można zrozumieć znaczenie przełomu, jakim była twórczość Skamandrytów, chociaż z dystansu widzimy, jak tkwili jednocześnie korzeniami w post-romantyzmie Młodej Polski. Co wyróżniało ich zdecydowanie od poprzedników — to właśnie przede wszystkim nowe i inne pojmowanie poezji i funkcji poety. Poeta spada z pomnika lub raczej zeskakuje z cokołu prosto w tłum. Zadziałały tu również związki polskich poetów, a zwłaszcza Tuwima, z poezją rosyjską, z Majakowskim.

Awangarda i krótkotrwały polski futuryzm wprowadzają ideę wyobraźni i jej prymat w kształtowaniu poezji.

Poeta-mag, czarodziej i mistrz — to metafory skamandryckie. Poeta-wizjoner, wynalazca i robotnik słowa — to definicje charakterystyczne dla poetów kręgu awangardy i wpływów francuskich.

Mistrzostwo i wynalazczość — to różne wysiłki obrony nadrzędnej, wysokiej funkcji poezji. Julian Przyboś w każdej swojej wypowiedzi podkreśla obowiązek wynalazczości poezji, w niej widząc sens sztuki poetyckiej.

Propozycją najbardziej charakterystyczną dla okresu powojennego jest chyba wiersz Tadeusza Różewicza, wynikły z głębokiego sceptycyzmu w stosunku do tradycji sztuki europejskiej. Przejawia się to zresztą nie tylko w wierszach, ale i w wypowiedziach Różewicza. Niedawno mówił on przed kamerą telewizyjną o tym, co to jest wiersz, co to jest poezja. Bo ja wiem? Nie wiem. Poetą może być każdy. Każdy jest w pewnym sensie poetą. Ty, ja, on, my, oni. Każdy, jeśli chce, może napisać wiersz. Oczywiście, że to trudne, ale może komuś się uda. Nie cytuję dosłownie, tylko tak, jak zapamiętałam, sens tej wypowiedzi. Ale przekorne, ironiczne zmrużenie oczu mówi co innego. No, spróbujcie. Przekonacie się, jak to trudno. A właściwie chyba już nawet niemożliwe. Bo przecież nie chodzi o to, żeby to było ładne, ale żeby powiedzieć jakąś prawdę światu, który nie chce jej słuchać.

I właśnie ta pozorna sprzeczność kształtuje dziś sprzeczną również naturę współczesnej poezji. Z jednej strony — całkowity sceptycyzm wobec dawnych wysokich koncepcji sztuki, z drugiej zaś — jednak przekonanie o odpowiedzialności poety wobec swojej epoki. Wymierzanie sprawiedliwości światu i epoce, a więc pozycja sędziego i patos skazańca. Awersja do piękna, tradycyjnego piękna i ornamentacyjność brzydoty. Unikanie wzniosłości i epatowanie brutalnością i muskularnością, okrucieństwami wyobraźni. Sceptycyzm poznawczy i moralizm. Poezja jako relikt ginącego świata i poezja jako ratunek, jako zalążek nowego ładu. Poeta jako anachronizm, zabłąkany w inny czas wykolejeniec. I poeta — jako inżynier, jeśli nie dusz, to wyobraźni, meliorujący bagna odkrytej podświadomości.

Te wszystkie sprzeczności tkwią w koncepcji współczesnej sztuki, współistnieją. Zdawałoby się, że sprzeczność wewnętrzna jest jej cechą zasadniczą.

A więc sprzeczność i obok niej — całkowite sprozaizowanie, zejście z piedestałów, porzucenie tonu wzniosłości, przekreślenie odrębności języka poetyckiego. Czy grozi to unicestwieniem specyfiki poezji? Wtopieniem się jej w prozę? Broni się ona przed tym nie zawsze oczywiście z dobrym wynikiem. Broni ekskluzywności języka, zagęszczając go, sięgając po wzory języka naukowego, a więc symbolicznego, nie rezygnując nawet z arche-wzorów magii. Tzw. niezrozumialstwo poezji współczesnej jest spazmatyczną obroną odrębności gatunku, walką o istnienie. Z tego punktu widzenia patrząc na wysiłki poezji możemy ujrzeć jej wewnętrzny dramat.

WALERY BRIUSOW

(1873—1924)

Odyseusz

Przełożył
Kazimierz Andrzej Jaworski

**Dokoła wielbią piewców nuty
mistrza chytrości, mnie — Odysa,
lecz duch mój ciemny i zatruty
i żmija w pamięć mi się wgryza.**

**Pamiętam dzień jak tarczy bławat
i zieleń wód, i pianę w bieli,
gdy wiatr nas pędził nie przestawał
ku wyspie syren-kusicielek.**

**Gdym dojrzał je na głazie śliskim
i gdym przybrzeżny szum usłyszał,
woskiem zmiękczonym rąk uściskiem
zamknąłem uszy towarzyszy.**

**A siebiem zaś do masztu sznurem
kazał przywiązać, by spróbować
uwodzicielskiej mocy chóru,
pieśni harfianej, fujarkowej.**

**I stało się to, czegom nie śnił!
Gdy w ciszy morskiej tajemniczo
rozległy się półbogiń pieśni
kłując mi serce swą słodyczą.**

**Użądlonego męką cudną
ciągnęła moc mnie niepojęta,
i wyrywałem się na próżno
ja, dobrowolny więzień w pętach!**

**I okręt nasz wyminął wyspę,
syreny skryły się w oddali,
i uniknąłem pokus chytrze,
lecz odtąd nic mnie nie ocali!**

**Czemuż to byłem tak spokojny,
czemum wód tajni nie pokonał,
nie usłuchałem dziew upojnych
i nie zginąłem w ich ramionach!**

**By znowu zaznać tej trucizny,
odwrócić koło chwil minionych,
oddałbym sławę, wszystkie hymny,
łoże Kalipsy i swój honor!**

„REWOLUCJA KAPITALISTYCZNA"

EMANUEL ISERZON

ZAMIERZAJĄC omówić przemiany, którym uległ kapitalizm w Stanach Zjednoczonych Ameryki w XX wieku, w tonacji publicystycznej, chciałem użyć do eseju tytułu atrakcyjnego, rzecz jasna, ale rzetelnego, tj. ścisłego, nie fałszującego. Zjawisko, o które chodzi, ma w literaturze fachowej wiele nazw. Wybrałem spośród nich nazwę użytą przez Adolfa A. Berlego (członka „trustu mózgów" J. F. Kennedy'ego) do jego głośnej rozprawy „Rewolucja kapitalistyczna XX wieku" („The 20-th Century Capitalist Revolution"). Nazwa ta — z naszego punktu widzenia i według u nas przyjętej terminologii politycznej i gospodarczej — nie jest ścisła. Jest natomiast ścisła w kategoriach myślenia kapitalistycznego.

W procesie przemian, jakie zaszły w kapitalizmie USA, nie było „skoku" — nie było więc elementu *sine qua non* rewolucji (w naszych kategoriach). Wszystko odbyło się w drodze stopniowych, dla współczesnych nie bijących w oczy zmian. Sami Amerykanie tak opisywali obrazowo ten proces: „W tym mechanizmie wymienialiśmy stopniowo detale i wymieniliśmy wszystkie, tak iż dziś nie ma w nim ani jednej części z tych, które składały się na jego pierwotną postać. Ale jest to wciąż ten sam mechanizm — mimo ciągłych remontów i ulepszeń. Dumni jesteśmy, że przez cały czas mechanizm był na chodzie". (R. S. Allen: „The Big Change", New York, 1950 r., cytuję z pamięci). W tym nie pozbawionym chełpliwości opisie zawarte jest przyznanie, że „rewolucja" nie spowodowała upadku przeżytego ustroju społecznego i nie ustanowiła nowego, postępowszego: mimo zmian jest to wciąż ten sam mechanizm (brak więc również drugiego koniecznego — według nas — elementu „rewolucji"). Odmienna ocena (rozpowszechniona w USA), że kapitalizm dziewiętnastowieczny został w XX wieku zniesiony i zastąpiony „kapitalizmem ludowym" — nie odpowiada prawdzie. Przyznaje to wiele amerykańskich autorytetów: „rewolucja kapitalistyczna" nie dokonała istotnych przemian w posiadaniu kapitału i rozdziale dochodów. Herman P. Miller, wieloletni dyrektor departamentu dochodów w Biurze do Spraw Spisu Ludności w USA na podstawie wyników badań nad spisem ludności w 1960 r. zauważa: „Stworzono mit, jakoby dochody ludności rozkładały się dziś bardziej równomiernie. Jest to przekonanie wielu ekonomistów z obu partii politycznych... Jest to mit. Od czasów Roosevelta nic się w tej dziedzinie nie zmieniło. W 1935 r. najbiedniejsze 20% rodzin otrzymywało 4% dochodu. Ich udział wzrósł do 5% w 1944 r. i tak już zostało". Połowa wszystkich oszczędności odkładanych co roku w USA należy do 10% najbogatszych rodzin. Połowa wszystkich udziałów w spółkach akcyjnych („korporacjach" — „corporations") należy do 1,1% akcjonariuszy. Jedna tysięczna wszystkich podatników skupia w swych rękach 20% wszystkich akcji. Przed 50 laty 10% najbogatszych Amerykanów miało dochodu 10 razy więcej, dziś — 20 razy więcej niż 10% najuboższych (Daniel Passent: „USA o podziale dochodów. Biedni, średni i bogaci", „Polityka" 1963, nr 45).

Z ulotek wyborczych Kennedy'ego Amerykanie dowiedzieli się: „Nie jest prawdą, co głoszą republikanie, że oto mamy erę „kapitału ludowego", że Ameryka należy do mas pracujących. To jest fałsz. Mniej niż 6% rodzin amerykańskich posiada $^2/_3$ wszystkich akcji przemysłowych Ameryki.

Te akcje dały w zeszłym roku 13,2 miliarda dochodu właścicielom. Z tych 6 miliardów poszło do kieszeni tych 6% naszego narodu (Melchior Wańkowicz: „Zbrodnia w Texasie", „Kierunki", 1963, nr 48). Tak wygląda „rewolucja kapitalistyczna" w USA w jej skutkach społeczno-gospodarczych.

Nazwa „rewolucja kapitalistyczna" nie jest więc fachowo prawidłowa, ale w publicystyce, która powinna korzystać obficie z języka obrazowego, nazwa ta chyba uchodzi, a oddaje ona dokładnie emocję, którą przeżywamy, porównując kapitalizm dziewietnastowieczny USA z kapitalizmem XX wieku. Zmiany są głębokie. Nie wolno nam ich ignorować lub pomniejszać. Byłoby to sfałszowaniem obrazu.

Twierdzenie, że czas od Wielkiej Rewolucji Francuskiej do I Wojny Światowej (1789—1914) był okresem gospodarki wolnorynkowej, a więc żywiołowej — nie jest ścisłe. Przez gospodarkę wolnorynkową rozumiemy gospodarkę wolnokonkurencyjną, w której wyłącznym motorem działania jest chęć zysku, momentem decydują-

(Dokończenie na str. 10)

W KONSPIRACJI

(Dokończenie ze str. 1)

się w nocy z 5 na 6 stycznia 1944 r. w leśniczówce w lasach kolechowickich wzięli udział między innymi Jan Sławiński, Mieczysław Moczar, Jan Hołod, Józef Szymanek, Bolesław Kwiatek i kilku innych. Komitet Centralny PPR reprezentował Hilary Chełchowski. Tragiczne wydarzenia, jakie miały miejsce po naradzie, nie przerwały zaczętej pracy.

Kazimierz Sidor, ps. Kazik, Hardy i Kruk, pochodził ze wsi Rudka, współorganizator Bojowej Organizacji Ludowej, od roku 1942 członek PPR. W 1943 był dowódcą 4 okręgu GL. 18 lutego 1944 r. został wybrany przewodniczącym WRN. Był pierwszym wojewodą Lubelszczyzny po Wyzwoleniu.

Pierwsze plenarne posiedzenie Lubelskiej Wojewódzkiej Rady Narodowej odbyło się 18 lutego 1944 roku we wsi Rudka Kijańska. W dniu tym do domu Ignacego Kasperczuka przybyli przedstawiciele Polskiej Partii Robotniczej, Stronnictwa Ludowego, Gwardii Ludowej, Batalionów Chłopskich, Związku Nauczycielstwa Polskiego oraz Spółdzielczości. Przedstawiciele poszczególnych organizacji na zebraniu tym poparli inicjatywę PPR i KRN. Przedstawiciel PPR stwierdził: *„Polska Partia Robotnicza jest bodajże najmłodszą organizacją w ruchu konspiracyjnym. Założona została w roku 1942. PPR stanęła na stanowisku zbrojnej walki z okrutnym barbarzyńcą hitlerowskim. Niezwłocznie PPR wyłoniła i przystąpiła do organizowania Gwardii Ludowej jako siły zbrojnej do walki z hordami najezdniczymi. Poza tym PPR wzięła za zadanie konsolidację wszystkich sił polskiej demokracji postępowej, wyciągając nawet rękę do najbardziej reakcyjnych ugrupowań sił wojskowych. W takich to wypadkach dość ryzykownych traciliśmy niejednokrotnie najlepszych synów Ojczyzny, którzy ginęli z ręki braci-katów. To jednak nie mogło nas zrazić w stosunku do naszej wielkiej misji; mimo bardzo ciężkich warunków kroczyliśmy wciąż naprzód. Z niesłychaną radością powitaliśmy koncencję tworzenia rad narodowych w kraju, wierząc głęboko, że właśnie tą drogą wszystkie żywotne siły narodu polskiego — polskiej demokracji solidarnie dążyć będą do wypędzenia okupanta z kraju i utworzenia demokratycznej partii ludowej”.*

Na pierwszym zebraniu wyłoniono prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, w skład którego weszli: przewodniczący — Kazimierz Sidor (ps. Kazik), współorganizator Bojowej Organizacji Ludowej na terenie powiatu włodawskiego, dowódca 4 okręgu GL, Zygmunt Goławski (ps. Leon), dowódca garnizonu BCh, kierownik wydziału prasowego — Anna Gadzalanka (ps. Halina), członek Stronnictwa Ludowego i Batalionów Chłopskich, Ludwik Czugała (ps. Równy), nauczyciel z powiatu lubartowskiego, sekretarz — Bronisława Czarnotówna (ps. Sława), przedstawiciel Spółdzielczości. Zebrani na plenarnym posiedzeniu przygotowali pierwszą deklarację, w której, po wiadomościach informacyjnych na temat powstania WRN, potępili akcje walk bratobójczych, inspirowanych przez reakcyjne podziemie.

7 marca 1944 r. w Ostrowie Lubelskim działacze Rady zebrali się na drugie plenarne posiedzenie WRN. Rozstrzygano szczególnie ważny w tym czasie problem waśni i walk bratobójczych. Reakcyjne podziemie nawiązywało nawet kontakty z okupantem w celu likwidacji członków Armii Ludowej, rad narodowych i PPR. Zebrani na posiedzeniu WRN, dążąc do położenia kresu walkom bratobójczym, postanowili powołać Sąd Ludowy. W skład Sądu weszli: Zygmunt Goławski ps. Leon, Ludwik Czugała ps. Równy i „Marek” — przyjęty również w skład WRN jak przedstawiciel Armii Krajowej. Ustalono, by za wszelką cenę nie dopuścić do walk bratobójczych, by nie zabijać ludzi za przekonania ideowe, by wyroki śmierci były umotywowane i wydawane przez Sądy Ludowe. Postanowiono nie kierować się w osądzaniu ludzi donosicielstwem. Podkreślono zarazem, że w wypadkach winy oczywistej, jak szpiegostwo na rzecz okupanta, należy przestrzegać niezwłocznego wykonywania wyroków. Działacze WRN stali na stanowisku jak najszerzej pojętej praworządności i przestrzegania przepisów. Dążyli również do tego, by pomiędzy ludnością cywilną i wojskową istniała szeroka współpraca oparta na wzajemnym zaufaniu.

Program Krajowej Rady Narodowej, kontynuowany przez rady narodowe, odpowiadał ogółowi społeczeństwa. Przyczyniło się to oczywiście do jednoczenia sił demokratycznych w celu prowadzenia walki z okupantem aż do zwycięstwa. W miarę wzrostu obozu demokratycznego narastała walka dwóch przeciwstawnych tendencji politycznych. Podziemie prolondyńskie, głoszące politykę reakcyjną i antynarodową, dążąc do uzyskania władzy w kraju, wypowiedziało w bezwzględny i brutalny sposób walkę klasie reprezentującej program rad narodowych. Główną organizacją działającą jedynie w kierunku likwidacji członków AL, PPR i rad narodowych były tzw. Narodowe Siły Zbrojne. Komendant NSZ powiatu nr 3 w swym rozkazie pouczał, jak służby wartownicze NSZ powinny zabezpieczać się przed „agresją band komunistycznych i rabunkowych”. 25 lutego komendant powiatu nr 5 polecił w swym rozkazie zorganizować służbę obserwacyjno-alarmową w tych miejscowościach, w których stan organizacyjny na to pozwalał. Najbardziej znanymi oddziałami NSZ były: „Zęba” — Aleksandra Zdanowicza, „Znicza” — Leona Cybulskiego i „Małego”. Terenem ich działalności był przeważnie powiat kraśnicki. O wrogiej działalności reakcyjnego podziemia w stosunku do własnego narodu świadczy współpraca z okupantem. Niemcy podczas akcji z placówką Rudnik oferowali swoje usługi NSZ w walce z „bolszewizmem”.

Ludwik Czugała, ps. Równy, pochodził z Sitańca, nauczyciel. Członek PPR i GL. 18 lutego 1944 r. brał udział w zebraniu organizacyjnym Wojewódzkiej Rady Narodowej. Po wyzwoleniu był przewodniczącym Prezydium WRN.

W obliczu takiej sytuacji członkowie Rady Narodowej zebrali się w dniu 13 IV 1944 r. na plenarnym posiedzeniu, by podjąć decyzję w sprawie sytuacji wewnętrznej na Lubelszczyźnie i samoobrony przed okupantem hitlerowskim. Reakcja polska każdego obywatela, który, walcząc z okupantem, domagał się sprawiedliwości gospodarczej, społecznej i politycznej, nazywała „komunistą” i „agentem komunizmu”. Do walki w celu likwidowania przedstawicieli obozu postępu reakcja posługiwała się bandami zorganizowanymi pod nazwą NSZ. By położyć kres walkom bratobójczym, by nie dopuścić do wojny domowej, do jakiej zmierzało reakcyjne podziemie, WRN postanowiła polecić Armii Ludowej zlikwidowanie „bojówek NSZ jako zdrajców sprawy narodowej i ludowej, gdyż przez wyniszczanie czynnego ele-

Paweł Dąbek, ps. Paweł, pochodzi z Piotrkowa (pow. lubelski). Był członkiem Robotniczo-Chłopskiej Organizacji Bojowej, od r. 1942 dowódcą okręgu lubelskiego GL. Był więźniem Majdanka, organizatorem Związku „Orzeł” — konspiracyjnej organizacji na terenie obozu. W roku 1944 organizator rad narodowych, po wyzwoleniu członek Prezydium WRN. W latach 1946—48 był sekretarzem KW PPR, 1948—49 wojewodą lubelskim, w 1950—52 był przewodniczącym Prezydium WRN, którą to funkcję pełni nadal od roku 1956.

mentu polskiego pomagają wrogowi”. Chcąc zapobiec niszczycielskiej akcji wroga Rada Narodowa postanowiła zorganizować czynną samoobronę społeczeństwa polskiego. Ze względu na wyjątkową sytuację Lubelszczyzny zdecydowała zwrócić się do Armii Czerwonej o pomoc w postaci broni. Celem tej akcji było dozbrojenie dywersyjnych i sabotażowych oddziałów AL, których w terenie działało coraz więcej.

Wojewódzka Rada Narodowa rozszerzała w tym czasie swe wpływy niemal na całą Lubelszczyznę. W kwietniu do Rady dokooptowani zostali przedstawiciele okręgu południowego. Byli nimi Stanisław Szot (ps. Kot), Franciszek Ojak (ps. Krzemień) oraz Adela Gadzińska (ps. Marta).

Zadania WRN wciąż rosły, szczególnie gdy sytuacja wojskowa na froncie radziecko-niemieckim świadczyła o bliskim już wyzwoleniu. Już w maju 1944 r. dowództwo Armii Czerwonej przygotowywało się do operacji, która miała objąć swym zasięgiem również wschodnie ziemie Polski. W toku przygotowań do ofensywy zostały wzmocnione siły frontu radzieckiego. 23 czerwca do natarcia przystąpiły: 1 Front Nadbałtycki, 3 i 2 Front Białoruski. Armie Radzieckie pokonywały silny opór nieprzyjaciela. W dniach od 24 do 29 czerwca wojska prawego skrzydła 1 Frontu Białoruskiego wzięły do niewoli 24.000 żołnierzy niemieckich. Z początkiem lipca na wschód od Mińska Niemcy stracili ponad 70.000 zabitych i 35.000 wziętych do niewoli. Front przybliżał się coraz bardziej w kierunku Bugu.

Na plenarnym posiedzeniu w dniu 25 czerwca i po przerwie 2 lipca 1944 roku dyskutowano nad przeprowadzeniem mobilizacji i omawiano sytuację w Armii Ludowej. Licznie zebrani przedstawiciele powiatowych rad narodowych i WRN przeprowadzili również dyskusję z delegatem Armii Polskiej. Zygmunt Goławski (ps. Leon) miał odtąd utrzymywać stałą łączność z AP. Przedstawiciel Krajowej Rady Narodowej — Ignacy Robb (ps. Krystian), obecny na posiedzeniu plenar-

Współpraca na radiowej fali

(Dokończenie ze str. 1)

skie. Popularne na wsi audycje szkoleniowe „Mikrofon dla rolników” mają być opracowywane wspólnie. Chodzi zarówno o tematykę, bardzo pokrewną w obu województwach, jak i autorów audycji. Lublin, posiadając Wyższą Szkołę Rolniczą, dałby naukowców, Białystok praktyków. Sprawa ma nawet pójść dalej. Lublin proponuje, aby dziennikarze radiowi z Białegostoku co pewien czas penetrowali teren Lubelszczyzny, nasi zaś — województwa białostockiego. Sądzę, że byłoby to bardzo pożyteczne. Świeże spojrzenie, może więcej krytycyzmu, możliwości porównania, od czego już krok do stałego współzawodnictwa w rolnictwie.

Myślę, że można by także uzgodnić wiele innych audycji. Bezpośrednie i stałe połączenie kablowe obu radiostacji umożliwia wspólne opracowywanie dzienników czy koncertów życzeń. Zainteresowani własnym terenem nie będziemy wyłączali aparatów, nie wiedząc, czy następna wiadomość nie będzie właśnie „nasza”. To może trochę podstępny, ale przecież skuteczny sposób zbliżenia obu województw.

Jeżeli chodzi o słuchowiska, występy miejscowych aktorów czy zespołów amatorskich — współpraca na linii Lublin — Białystok — jest w tej chwili raczej automatyczna. Gorzej, gdy chodzi o Kielce czy Rzeszów. Słabiutka radiostacja kielecka, rozporządzająca w dodatku najbardziej chyba skromnymi w ramach 4 województw warunkami lokalowymi, ma również ograniczone możliwości programowe. Ale mimo to chyba trzeba mieć trochę pretensji do kieleckich radiowców. Przed trzema laty otrzymali z Lublina taśmy z kilku słuchowiskami, podobno je nadali — podobno, bo tego tu słychać nie było — ale i na tym się skończyło. Swoich nie przysłali. Z Rzeszowem kontakty dopiero się zaczynają. Przesłano tam z Lublina 10 słuchowisk i po tym przesłuchaniu Rzeszów ma zadecydować, czy i co przekaże swoim słuchaczom.

Jak widać z tego krótkiego przeglądu, dorobek współpracy naszych województw na radiowej fali nie jest wielki. A przecież przed kilku laty odbyło się w Lublinie posiedzenie wyjazdowe Komitetu do spraw Radiofonii i wiele tam mówiono nie tylko o możliwościach, ale i konkretnych formach tej współpracy. Bądźmy zresztą szczerzy — opierało się to w dużej mierze na projektowanej naówczas rozbudowie wszystkich czterech radiostacji, zarówno jeżeli chodzi o moc nadajników jak i studia. W praktyce tylko Lublin zdążył rozpocząć szybko budowę nowego gmachu rozgłośni, jak również uzyskać nadajnik o sile 60 kilowatów. Gmach wprawdzie jeszcze nie jest skończony, ale chyba 22 lipca br. nastąpi jego przekazanie do użytku. Możliwe warunki ma jeszcze Białystok, natomiast Kielce i Rzeszów pracują wciąż jeszcze w raczej prowizorycznych warunkach. To oczywiście wpływa na realizację pierwotnych projektów. Trzeba także dodać, że zarówno ze względu na powiązania techniczne, jak i tradycje kulturalne, Rzeszów poważnie ciąży do Krakowa.

Oczywiście radiowcy mogą tu przytoczyć jeszcze wiele trudności technicznych, jak np. brak bezpośrednich połączeń kablowych, a także pochwalić się lokalnymi programami transmitowanymi przez Warszawę na wszystkie rozgłośnie w kraju. Są nawet audycje — ostatnio naukowe i popularno-naukowe — nadawane tylko w programie lokalnym Warszawy II, a opracowane w Lublinie.

Ale przytoczone na wstępie listy wykazują, że słuchacze radiowi nie zawsze słuchają tylko stacji lokalnej albo warszawskiej. Jeżeli jakiś stały cykl trafi w ich upodobania, stają się wiernymi słuchaczami niezależnie od radiostacji, która ten cykl nadaje. To dobrze, że Lublina słuchają — jak świadczą o tym inne listy — w Szwecji, na Bliskim Wschodzie czy nawet w Afryce. Podczas pobytu w Cognac, popijając — a raczej miejscowym obrządkiem wąchając — koniak, z niejakim rozrzewnieniem słuchałem krajanów z Lublina. Wszystko to są rzeczy przyjemne, dają jakąś korzyść, ale chyba nie zasadnicze. Wydaje mi się, że w zakresie współpracy radiowej czterech wschodnich województw jest jeszcze dużo do zrobienia. Nie mam zamiaru sugerowania kolegom z radia takich czy innych rozwiązań. Są specjalistami i sami wiedzą lepiej, co i jak można zrobić. Rzecz w tym, aby najszybciej to zrobili. Pierwsze bliższe kontakty są już nawiązane i trzeba je tylko rozwijać, wzbogacać, urozmaicać. A może, nie czekając na ponowną sesję wyjazdową Komitetu, z okazji Roku Ziemi Lubelskiej czy XX-lecia zorganizować jakieś spotkanie radiowców Białegostoku, Lublina, Kielc i Rzeszowa? Nie takie oficjalne, z przygotowanymi przemówieniami, ale kameralne i zarazem robocze?

Jerzy Dostatni

nym WRN, omówił stosunek gen. Andersa i gen. Sosnkowskiego do armii emigracyjnych, których żołnierze walcząc pod Tobrukiem, Narwikiem, Monte Cassino czy pod Lenino są *„tak samo oceniani jak bohaterowie partyzantki, Armii Ludowej i walczących oddziałów AK [...] Stosunek nasz do żołnierza polskiego musi być jednakowy. Zastrzeżenia są tylko do kierowników politycznych. Ich nastawienie faszystowskie nie zgadza się z naszą myślą polityczną i stąd pochodzą rozdźwięki i rozbieżności. Dziś łączyć nas powinno braterstwo broni, ponieważ walka z okupantem jest naszym i ich celem. Armia gen. Berlinga jest utworzona na zasadzie szerokiej demokracji i idzie po tej samej linii politycznej, jest więc nam najbliższą".*

W drugim dniu obrad (2 lipca) dyskutowano nad przygotowaniami do przyjęcia Armii Polskiej i Armii Czerwonej, nad problemem wyłonienia przedstawicielstwa narodu i koncepcji rządu. Członkowie WRN wybrali delegatów do Krajowej Rady Narodowej — Kazimierza Sidora (ps. Kazik), Annę Gadzalankę (ps. Halina) i „Władka".

Wynikiem kilkumiesięcznej działalności Wojewódzkiej Rady Narodowej było zorganizowanie szeregu rad narodowych w terenie oraz tworzenie się wspólnego frontu narodowego w walce z okupantem pod egidą Armii Ludowej.

Pierwsza Miejska Rada Narodowa na terenie Lubelszczyzny powstała w Ostrowie Lubelskim. Na pierwszym posiedzeniu w lutym 1944 r. u Andrzeja Szatnińskiego zostało wybrane prezydium Rady. W organizowaniu jej brali udział: Kazimierz Markiewicz, Stanisław Dąże i August Respondek. Miejska Rada Narodowa i współpracujący z nią garnizon BCh rozwinęły swą działalność i dzięki ludności zamieszkałej w Ostrowie, jak i w okolicy, sympatyzującej i popierającej politykę KRN, osiągnęły w swej pracy duże wyniki. Nocą 24—25.II. w Ochorzy zorganizowano zlot młodzieży z okolicznych garnizonów. Przybyło wówczas około 200 osób. Do zebranych przemawiał Kazimierz Sidor, przewodniczący WRN. W przemówieniu swym mówił o zorganizowaniu szerokiego frontu narodowego w walce z okupantem, o Polsce Ludowej, o sojuszu ze Związkiem Radzieckim. Ostrów Lubelski stał się stolicą partyzantów północnej Lubelszczyzny. Tu przebywali działacze obwodowi PPR i AL. W marcu kierownictwo BCh z Zygmuntem Goławskim, członkiem WRN, podjęło decyzję wydzielenia grupy młodych ludzi celem zasilenia oddziałów partyzanckich AL. Część ludzi z Goławskim na czele przydzielona została do sztabu obwodu pik Mieczysława Moczara, druga część do oddziału Leona Kasmana (ps. Janowski).

Zygmunt Goławski, ps. Leon i Niwa, dowódca garnizonu BCh w Ostrowie Lub. W roku 1944 działacz Armii Ludowej i Wojewódzkiej Rady Narodowej. Zginął 20 VII 1944 r. we wsi Bójki.

Działacze lewicowi, gdy tylko dowiedzieli się o istnieniu KRN i WRN przystąpili do zakładania rad narodowych niższych szczebli. Tak np. Stanisław Szczerba-Orłowski wspomina o istniejącej już w marcu Gminnej Radzie Narodowej w Leśniowicach, w powiecie chełmskim. Kontakt z działaczami ruchu lewicowego nawiązał poprzez Mieczysława Różyckiego, Władysława Kowalczyka i Stachyrę. Sekretarz Komitetu PPR II Podokręgu w swym raporcie z marca 1944 r. podał, że w okresie od 15 III do 1 IV powstało na terenie powiatu krasnostawskiego 2 gminne rady oraz 7 rad wiejskich.

W marcu 1944 r. zorganizowano Powiatową Radę Narodową dla powiatu lubartowskiego. Jej założycielami byli: Wacław Bonat i Marian Czerwiński. Przewodniczącym Rady został wybrany Wacław Bonat, przedstawiciel PPR. W skład PRN weszli: Józef Cholewa, Bronisław Gontarz, Szczepan Kudła, Bronisław Mazurek, Wacław Niećko, Władysław Andrzejewski. W maju powstały gminne rady narodowe w Spiczynie, w Sernikach, Ludwinie i Rozkopaczewie.

W kwietniu powstała i rozpoczęła pracę Powiatowa Rada Narodowa w powiecie zamojskim. Zorganizowana została we wsi Krasne w gminie Stary Zamość. Przewodniczącym jej został Stanisław Dudek, jego zastępcą — Edward Dubel, sekretarzem — Józef Tront. W skład Rady jako członkowie weszli: Jan Szałata, Henryk Sidor, Jan Gorzkowski, Katarzyna Nizioł i inni.

30 kwietnia — z inicjatywy Mariana Czerwińskiego, członka WRN — zorganizowana została Powiatowa Rada Narodowa w Kraśniku. W skład jej weszło 16 przedstawicieli różnych organizacji, takich jak: PPR, SL, BCh i AL. Wybrano prezydium PRN, w skład którego weszli: Walerian jako przewodniczący, Wiatr jako sekretarz, Czech jako skarbnik. Rada Powiatowa zgłosiła apel do Krajowej Rady Narodowej o dostarczenie broni, na terenie bowiem powiatu kraśnickiego działało wiele oddziałów partyzanckich oraz powstawały wciąż nowe. Działacze powiatu kraśnickiego utrzymywali szeroką współpracę ze Strażą Chłopską, działającą przede wszystkim w gminie jarocińskiej w powiecie niżańskim. Na tym to terenie w maju 1944 r. powstała pierwsza Gminna Rada Narodowa w Jarocinie. Przewodniczącym Rady wybrano Jana Świercza, zastępcą Franciszka Kozioła, sekretarzem Pacosza. W zebraniu organizacyjnym uczestniczył Stanisław Bieniek, działacz PPR z 5 okręgu. Pod koniec maja z inicjatywy Komitetu PPR w Jarocinie zorganizowano konferencję, w której uczestniczyli członkowie Powiatowej Trójki Politycznej — Adam Drąg z Kłyzowa i Franciszek Łacz z Grobli oraz przedstawiciele trójek gminnych i gromadzkich, jak: Kazimierz Rup z Wólki Tanewskiej, Jan Koluch z Bielińca, Antoni Hasiak z Glinianki, Michał Bielak ze Zdziar i inni. Na zebranie przybyli przedstawiciele PPR i AL: Józef Karkut, Jan Świercz, Piotr Pacosz i Franciszek Kozioł — z Jarocina, Franciszek Jarosz — z Bielińca oraz Stanisław Bieniek, jako przedstawiciel Komitetu Obwodowego PPR. Wybrano wówczas konspiracyjną Powiatową Radę Narodową, w skład której weszło 14 radnych, to jest 7 z PPR i AL oraz 7 z SL i BCh. Działacze PPR i BCh dokładali dużo starań, by rady powstały niemal w każdej miejscowości.

Natomiast teren powiatu puławskiego podzielony był na trzy części. Jedna część podlegała obwodowi warszawskiemu, dwie obwodowi lubelskiemu, to jest: — północna — 4 okręgowi, południowa — 5 okręgowi. W części powiatu podporządkowanej Prawej Podmiejskiej Powiatowa Rada Narodowa powstała w Rykach w mieszkaniu Celińskiego. Z ramienia PPR w skład Powiatowej Rady Narodowej weszli: Stanisław Skowroński, Czesław Osiński, Władysław Moskalik, Władysław Markiewicz i Władysław Peliński. W północnej części powiatu puławskiego działacze, tacy jak Marian Czerwiński, Stefan Lewtak, Władysław Krupa, Kamiński, Tomasiak wkładali dużo wysiłków, by zorganizować już w kwietniu radę narodową. Powstała ona 29 kwietnia we wsi Bobowiska, w domu Bronisława Zachaja, jako Powiatowa Rada Narodowa. Również w Puławach-Południe zorganizowano Powiatową Radę Narodową. 30 maja 1944 r. zebrani przedstawiciele ugrupowań politycznych i organizacji zbrojnych wybrali prezydium Rady, a mianowicie: przewodniczącego — Józefa Głowackiego, wiceprzewodniczącego — Zapomnianego, sekretarza — Stefana Płaskocińskiego (ps. Migawka) oraz członków Rady: Jana Nowaka (ps. Orzeł), Bolesława Łyjaka (ps. Bruzda), Jana Bidę (ps. Smyk), Bolesława Szafrana (ps. Tarzan), Józefa Jarosza (ps. Motyl), Józefa Żurawskiego (ps. Kalina), Stanisława Kosmala (ps. Płaski) i in.

Na terenowych radach narodowych ciążyły poważne obowiązki. Do nich należało organizowanie frontu narodowego w powiecie, przygotowanie ludzi do przyjęcia Armii Czerwonej i Wojska Polskiego, do realizacji całości założeń polityki Polskiej Partii Robotniczej i Krajowej Rady Narodowej. Dużo zabiegów wymagało łagodzenie konfliktów i starć organizacji różnych programów politycznych, jak AK i NSZ z AL i BCh.

Wspólna walka narodu polskiego oraz Armii Czerwonej doprowadziła do wyzwolenia części ziem polskich. Lublin, pierwsza stolica Państwa Ludowego, stał się siedzibą centralnych władz — Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, a następnie Rządu Tymczasowego. Na pierwszym plenarnym zebraniu WRN w wyzwolonym Lublinie, w dniach 30 VIII—1 IX 1944, wybrano prezydium, w skład którego weszli: Kazimierz Sidor, Paweł Dąbek, Anna Gadzalanka, Bronisława Czarnota, Franciszek Krzemień-Ojak, Jan Stefaniak, Wacław Rózga. 14 X 1944 r. na posiedzeniu WRN w obecności delegata Krajowej Rady Narodowej, ob. Leona Kurowskiego, przewodniczącym Rady Narodowej wybrano Pawła Dąbka.

Praca w okresie kształtowania się władzy ludowej nie była łatwa. Organizowanie organów władzy ludowej należało zaczynać od podstaw. W terenie pracę utrudniali ludzie z prawicowych ugrupowań, wielu działaczy rad narodowych zostało zamordowanych przez bandy reakcyjnego podziemia.

Ale Milicja Obywatelska, Służba Bezpieczeństwa i Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej — organa władzy ludowej wypełniły dzielnie swe obowiązki w obronie porządku i spokoju.

Zbigniew Hirsz

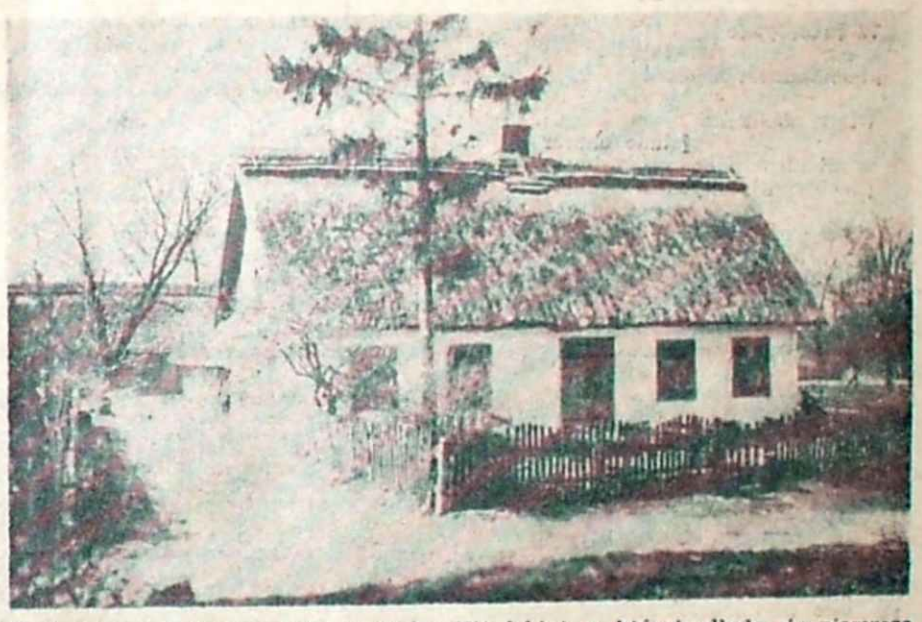

Chata Ignacego Kasperczuka w Rudce Kijańskiej, w której odbyło się pierwsze plenarne posiedzenie Wojewódzkiej Rady Narodowej

SELEKCJA

STANISŁAWA GOGOŁOWSKA

PONURY dzień listopadowy w obozie w Birkenau był jeszcze smutniejszy i bardziej beznadziejny niż gdziekolwiek na świecie. Wydawało się, że słońce już nigdy nie wyjrzy spoza ołowianych chmur.

Przejmujący wiatr dął od północy. Obleciał z hukiem cały obóz, pohulał na dachach baraków, z całych sił zatrząsł drutami dzielącymi ten skrawek ziemi od reszty świata, że aż zawyły, szarpnął wieżyczkami obserwacyjnymi wywołując głośne przekleństwa SS-owców strzegących tam z góry numerów, które kiedyś były ludźmi, i z impetem ruszył na nas. Jak widma snułyśmy się po *„Wiese"* *).

Mało podobne do istot ludzkich szkielety w łachmanach, zbijamy się w gromady i tulimy do siebie. Każda chciałaby znaleźć się w środku swojej grupy, by zagrzać się choć trochę.

Zimno coraz bardziej nam dokucza. Odłączamy się z Hanką od reszty więźniarek i skradamy się w stronę baraków. Kluczymy, przylepiamy się formalnie do ściany, żeby nie zauważyła nas przypadkiem Bubi, wszechwładna *Lagerälteste* **), ukarałaby nas bezlitośnie za samowolne opuszczenie *„Wiese"*.

I nagle jak spod ziemi wyrosła przed nami chuda postać Bubi. Jej odrażająca, wykrzywiona twarz megiery nie wróży nic dobrego. Nie próbujemy nawet uciekać. I tak ucieczka nie udałaby się w olbrzymich holenderkach, które zlatują z nóg, nawet gdy chodzimy całkiem powoli.

Bubi jednak wcale nie zwraca na nas uwagi. Podnosi do ust gwizdek zawieszony na jej szyi. Rozlega się przeraźliwy gwizd. Z bliska i daleka, ze wszystkich krańców obozu odpowiada mu drugi, trzeci... dziesiąty. Towarzyszą im nieludzkie ryki: *„Blocksperre! Blocksperre! Alles auf den Block!!!* ***).

Więźniarki, funkcyjne wszystkie biegną, wszystkie krzyczą, nawołują. Rozpętało się prawdziwe szaleństwo.

Biegnę i ja z uczuciem niespodziewanego szczęścia. Nareszcie przestanie dokuczać mi ohydny wiatr, nareszcie będę mogła wejść do bloku. I nagle staję. Ogarnia mnie fala palącego wstydu. Czy to naprawdę ja tak pomyślałam?

Blocksperre — to przecież selekcja — śmierć tysięcy kobiet w najstraszliwszych mękach. Już od kilku dni szeptano w obozie, że hitlerowcy przygotowują selekcję. Holenderki na nogach stają się okropnie ciężkie, znacznie cięższe niż zazwyczaj. Ledwie dowlekam się do baraku.

Po kilku chwilach obóz zamiera w śmiertelnej ciszy, by w dwie godziny później zatętnić znowu niesamowitym ruchem.

W kierunku bloku 25 — bloku śmierci, biegną nagle więźniarki. Każda z nich trzyma wysoko nad głową swoje łachmany. SS-owcy, *lagerälteste*, blokowe i sztubowe poganiają je krzykiem, gwizdem i batami.

Nie mogę na to patrzeć. Chcę cofnąć się w głąb baraku. Hanka ściska mocno moją rękę, zatrzymuje mnie. Mówi twardo, ochrypłym głosem: „Musisz patrzeć. Trzeba wszystko widzieć. Może któraś z nas przeżyje. Muszą zapłacić za to!"

Blok 25 przylegał do naszego bloku 26. Okna mojej koi wychodziły na jego podwórze. Przez trzy noce nie zmrużyłam oka. Tam o kilkanaście metrów zaledwie od nas, w małym bloku przeznaczonym na kilkaset osób, przebywa po kilka tysięcy kobiet skazanych na śmierć. Nie miały czym oddychać, ginęły z pragnienia. Jęczały, płakały i błagały o wodę. Nie otrzymały. Podobno cyklon najlepiej działa na pusty żołądek.

Z garnuszkami pełnymi wody zdobytej z ogromnym trudem próbujemy przekraść się w sąsiedztwo bloku 25. Próżny wysiłek. Blok 25 był dobrze strzeżony. Nie udało się nam przedostać do zakratowanych okien. Wycofałyśmy się poturbowane i bez garnuszków, które odebrały nam sztubowe.

Na trzeci dzień podwórze bloku 25 zaludniło się SS-owcami. Był tam i *Raportführer* Tauber — postrach wszystkich więźniarek, była straszliwa Hasse, zebrał się cały sztab morderców. Na końcu zjawiła się krępa postać niemłodego już oficera. Wszyscy SS-owcy na jego widok prężą się służbiście — to sam komendant obozu. Przyszedł, by uczestniczyć w wywózce kobiet do gazu...

Blokowa 25 bloku, szesnastoletnia Cilli — „diabełek" jak ją przezwałyśmy, kręciła się wśród tej całej zgrai

(Dokończenie na str. 10)

*) Łąka, długi prostokątny plac, na który zgromadzono więźniarki nie przydzielone jeszcze do żadnego komanda.

**) Dosłownie: najstarsza w obozie, rodzaj capo.

***) Zamknięcie bloków, wszystkie na blok.

WIERSZE POETÓW RZESZOWSKICH

BARBARA TONDOS

Patrzenie

Siedzi na parapecie okna. Siedzi na parapecie albo leży na tapczanie przykrytym futrzaną narzutą. Może coś je. Może śpi, a przed snem myje zęby.
Podchodzi pies i opiera łapę o jego kolano. Pies jest smutny, ma złe przeczucia. Pies patrzy w oczy człowieka. Oczy psie są brązowe, obwiedzione żółtą obwódką, wilgotne. Wiążą się spojrzenia człowieka i zwierzęcia. Pies odwraca głowę.

Czyta książki i maluje obrazy, które wzruszają i budzą tęsknotę. Słucha muzyki. Wieczorem opowiada bajki dzieciom sąsiadów. Przynosi mleko staruszce. Ptakom wysypuje okruchy na parapet okna.

Turkawka, która przylatuje codziennie, nie boi się człowieka. Nie ucieka na dźwięki muzyki. Nie odlatuje, gdy człowiek siada na parapecie. Patrzy na turkawkę. Ptak usuwa się gwałtownym skokiem. Odlatuje daleko.

Ciemne i wypukłe oko turkawki zawiera ogromny strach. A gdy ona wraca do jedzenia, człowiek zamyka oczy.

KRYSTYNA SZYMONOWICZ

Krajobraz odchodzący

Tu wszystko jest jeszcze jak było
ten las — drżące dno rzeki — dom w ogrodzie
w podwórzu jęczy drzewo cięte giętką piłą —
A przecież już wiadomo: to wszystko powoli
[odchodzi

Woda pośpiesznie wymyje ślad różowych nóżek
umilknie most dzwoniący powroty stąd
[wieczorem
odejdą pokornie drzewa na milczących
[wzgórzach
i liść na krwawej łodyżce zostanie z jawora

Usta pachnące miodem — ręce końskim potem
gniazda nieznanych ptaków skryte w dzikim
[rdeście
zadymki letnich deszczów — woń pokrzyw pod
[płotem
chwile księżyca i trawy — gdzie jesteście?

Wiem. To są sprawy drobne, nikomu dziś
[niepotrzebne
Drży już napięta srebrna strzała na łuku zapory.
Nowy czas tu przychodzi: asfaltowy, pewny...
I tylko ja — krajobraz odchodzący,
jak Noe do arki zabiorę...

WIESŁAW KULIKOWSKI

Prom na Wisłoce

Srebrny nad wodą i złoty
jak promień o wschodzie —
na linach słońca

wiszą wsie,
ogrody
i dno.

Przewożą pole,
zmącony ranek
i każde rozstanie
[odbite w wodzie.

Na dnie jest noc
i światła domów — kamyki —

— dnie płyną
z prądem
i pod prąd.

STANISŁAW RYSZARD KORTYKA

Z pól

W przepływie
zboża bursztynowieją
przemienność złocieni

wiatr niesie na czole
[stado chmur
w niebieskie domy
ptaków uśpionych

tylko pustułka
zawisła w niebie
jak broszka
i krzyk

WOJCIECH KAWIŃSKI

W środku drogi

Tadeuszowi Nowakowi

— Już nas otacza las kwitnący
i dzwonu bicie w nim zamknięte
i ptaka lot nie istniejący
w chmurach co szronem są dotknięte.

Ścieżka zarosła jak dzieciństwo
trawą skoszoną po korzenie
zielona woda płynie bystro
i lśni jaszczurka pod kamieniem.

Tupią ostatnie konie nocy
aż kora drzew zaczyna śpiewać
a my stoimy pawioocy
w mchu który stopy nam ogrzewa

NIEZNANE LISTY FAUSTYNY MORZYCKIEJ

MICHAŁ SZULKIN

Faustyna Morzycka (1864—1910), nauczycielka, pisarka ludowa i działaczka społeczna prowadziła w latach 1906—1908 w Nałęczowie szkołę oraz brała czynny udział w pracach oddziału lubelskiego „Światła" w Nałęczowie. Współpracowała wówczas ze Stefanem Żeromskim, Gustawem Daniłowskim, Dulębami, Rudzkimi i Brzezińskimi, tworząc w Nałęczowie ognisko pracy oświatowej wśród ludu wiejskiego. Okres ten, związany z rewolucją 1905—7 r., znalazł w pracy monograficznej Zofii Żarneckiej pt. „Działalność oświatowa Faustyny Morzyckiej" (Warszawa 1948) stosunkowo słabe oświetlenie. Tymczasem w tym właśnie okresie Faustyna Morzycka obok działalności pedagogicznej prowadziła rozległą pracę społeczną i literacką publikując szereg książeczek popularnych (*„Powrotne fale. Dziewięć strof powieściowych z życia współczesnego"* 1906, *„Holandia"* 1907) oraz liczne artykuły treści pedagogicznej i literackiej w czasopismach: „Nowe Tory", „Krytyka" i in. Żarnecka w swej pracy poświęconej Morzyckiej stwierdziła jedynie: „Faustyna brała czynny i bardzo wydatny udział w organizowaniu kursu dla kandydatów na nauczycieli ludowych. Wykładała tam, również miewała wykłady z pedagogiki na kursach wieczorowych i w Uniwersytecie Ludowym" (str. 107).

W czasie poszukiwań archiwalnych natrafiłem na dwa nie znane dotąd listy Faustyny Morzyckiej z r. 1907 znajdujące się w zbiorach Archiwum Akt Nowych w Warszawie (Zespół TNSW sygnatura 47, karty 88 i 89). Listy te skierowane były do Polskiego Związku Nauczycielskiego, pierwszej polskiej organizacji nauczycielskiej o charakterze radykalnym, do której należała Faustyna Morzycka. Oto treść listów pisanych ręcznie z Nałęczowa.

Pierwszy list z dnia 10.II.1907 r.

Oddział Polskiego Związku Nauczycielskiego bezwarunkowo da się utworzyć w Nałęczowie, uważając też myśl Waszą za wysoce potrzebną i użyteczną, zajmę się tym chętnie. Przede wszystkim proszę o ustawy. Zupełnie też prywatnie zapytuję o radę. Jak w całym kraju, tak i u nas rozterka między „Światłem" i „Macierzą" jest nader silną — przedstawiciele jednak naszej PMS uważają i w gruncie może i są poniekąd ludźmi postępowymi — otóż czy warto przełamywać dzielące nas lody i czy należy udać się do nich z projektem należenia do P(olskiego) Z(wiązku) N(uczycielskiego).

Osobiście naturalnie wolałabym, żeby odpowiedź wypadła przecząco, jeżeli jednak będzie to korzystnym dla proponowanej instytucji, to gotowa jestem jeszcze raz spróbować rwącej się zgody. Są jednak pewne widoki, że i Stowarzyszenie złożone z tamtych żywiołów postępowych da się utworzyć na pewno, ale będzie musiało objąć nieco dalszą okolicę. Proszę o nieoficjalną odpowiedź i obiecuję zachować dyskrecję.

F. Morzycka

Drugi list z dnia 14.III.1907 r.

„Ponieważ członków muszę werbować z okolic nieraz dość odległych od Nałęczowa, więc nie mogę obiecywać, żeby nasz oddział powstał szybko. Sądzę, że dopiero za 2—3 tygodnie zdołam zebrać wymagany komplet. Dla naszego strasznie ubogiego nauczycielstwa ludowego i ta niewielka składka okazuje się zbyt wygórowaną i wielu zraża.

Czy koleżanka Weychertówna zakomunikowała P.(olskiemu) Z.(wiązkowi) N.(auczycielskiemu) propozycję moją utworzenia w Nałęczowie letnich kursów dla nauczycieli ludowych? I jak P. Z. N. na to się zapatruje?

Z szacunkiem
F. Morzycka

Listy te rzucają ciekawe światło na działalność Faustyny Morzyckiej w środowisku oświatowców w Nałęczowie oraz stwierdzają niewątpliwą jej przynależność do Polskiego Związku Nauczycielskiego. Z inicjatywy Morzyckiej odbyły się w Nałęczowie wakacyjne kursy dla nauczycieli szkół elementarnych w r. 1907 i 1908. Na wniosek znanej działaczki oświatowej Władysławy Weychert, późniejszej Szymanowskiej, przy Zarządzie Głównym Polskiego Związku Nauczycielskiego powołana została komisja. Protokół tej komisji z dn. 23.III. 1907 r. podaje:

„Pod obrady wniesiono sprawę urządzenia kursów dla nauczycieli elementarnych w Warszawie oraz zaproponowaną przez F. Morzycką sprawę urządzenia kursów letnich o takim samym charakterze w Nałęczowie. Kol. Grodecki komunikuje, że prosił kol. Morzycką o bliższe szczegóły co do widoków na frekwencję i obsadzenie wykładów kursów nałęczowskich. (...)

Zapadła uchwała, że organizacją kursów nałęczowskich zająć się winien tam powstający oddział Związku, któremu oddział warszawski i inne okazać muszą wszelką pomoc."

O kursach wakacyjnych dla nauczycieli szkół elementarnych organizowanych w Nałęczowie w r. 1908 znajdujemy następującą wzmiankę w protokóle z posiedzenia Zarządu Polskiego Związku Nauczycielskiego z dn. 24.IV.1908 r.

„Kol. Weychertówna zawiadomiła Zarząd, że staraniem pewnego grona osób (Radziwiłłowicz, Żeromscy, Dziubińska, Weychertówna, Morzycka) będą zorganizowane w Nałęczowie wykłady wakacyjne dla nauczycieli elementarnych. Wobec tego Zarząd postanowił w Warszawie kursów letnich nie organizować, lecz czynnie przyłączać się do doprowadzenia projektu do skutku, mianowicie zawiadomić o powyższym swoich członków."

Działalność oświatowa Faustyny Morzyckiej w latach 1906—1908 w Nałęczowie została zakończona jej aresztowaniem w dn. 10.VII.1908 r. Dwa powyższe listy Faustyny Morzyckiej stanowią ciekawe i cenne źródło do poczynań oświatowych w Nałęczowie.

ZE SPOTKANIA DWÓCH POKOLEŃ

W OSTATNIĄ niedzielę stycznia dane mi było po raz drugi przeżyć powojenne dwudziestolecie, burzliwy okres rewolucji społecznej i kulturalnej, czas wielkich nadziei i wielkich zdobyczy. Uczestniczyłem w spotkaniu dwóch pokoleń młodzieży wiejskiej zorganizowanym przez Zarząd Główny ZMW i redakcję „Sztandaru Młodych". Przybyła na to spotkanie młodzież z terenów wyzwolonych przez Armię Radziecką w czasie pamiętnej letniej ofensywy 1944 roku, a więc z województwa białostockiego, rzeszowskiego, warszawskiego i lubelskiego. To była wówczas wolna Polska, a Lublin był jej stolicą.

Trudno mi dzisiaj z pełną dokładnością powiedzieć, co robiłem latem 1944 roku, gdy Mieczysław Kowalski, jeden z przedstawicieli starszego pokolenia organizował na wyzwolonych terenach Związek Walki Młodych. Być może, że w ruinach Altenburgu, zamienionego przez „pracowitych" gospodarzy Atnang Puheim na obóz pracy, nadsłuchiwałem wieści z Lubelszczyzny i w gronie podobnych sobie młodych ludzi wykrawałem ze środka Europy pokaźny kęs dla Polski. Być może, że podczas desperackiej ucieczki z obozu nie było mi wcale trudniej niż jemu po stokroć narażającemu się z dobrej woli na strzały zza węgła. Jedno jest pewne: Ta jego młodość wmurowała niejedną cegłę w nasz dzisiejszy gmach.

Ganił sobie swą młodość Jan Oleszczuk z Machochwieja w pow. krasnostawskim za trud poszukiwania najsłuszniejszego kierunku politycznego, za ciemnotę i zacofanie na wsi w okresie przedwojennym. Słuchała go jego córka Marta, siedząca przy tym samym stoliku obrad i zachęcona swadą ojca też opowiedziała o swoich kłopotach. Jest przewodniczącą miejscowego koła ZMW. Dopiero niedawno powstał u nich klub książki, prasy i radia, niedawno otrzymali telewizor. Książki? Jest ich coraz więcej. Prasa? Otrzymują ją codziennie. Nauka? Kto chce się uczyć, znajdzie dla siebie miejsce.

W roku Dwudziestolecia Polski Ludowej, w Roku Ziemi Lubelskiej wchodzimy w okres cyklu „bilansów", porównań i podsumowań. I choć sucho brzmią te słowa, nie da się uniknąć ich rzeczywistego znaczenia. Ale te porównania nie są same dla siebie. Historia, nawet ta najmłodsza, to jedno, a problemy dnia dzisiejszego — to drugie.

Spotkanie młodzieży dwóch pokoleń, które zapoczątkowało cykl podobnych imprez, odbywa się w trudnym okresie. Przemilczanie, tylko z racji jubileuszu, bieżących niedostatków i wyrzeczeń, na jakie jesteśmy skazani, byłoby małostkowością wobec zmian, jakie się w Polsce dokonały. Trzeba o niedomaganiach mówić, trzeba szukać dróg ich usunięcia, lecz niech nikt przy tym nie zapomina, że czas idzie naprzód.

W swobodnej wymianie myśli jeden z przedstawicieli starszego pokolenia zarzucił dzisiejszej młodzieży „wygodnictwo", brak „politycznego zaangażowania" itp. W odpowiedzi na to ktoś z białostockich młodszych zawołał w świętym oburzeniu: „Czego od nas chcecie? Nie jesteśmy tacy źli, jak się o nas mówi, przypomnijcie sobie waszą młodość. Nie było wśród was chuliganów?".

Ileż to już razy dyskutowany był problem „starych" i „młodych". Niby wszystko na ten temat powiedziano, a bumerang został. Tylko spróbuj zwrócić komuś uwagę. Zostaniesz pobity tą samą bronią.

Rzecz w tym, aby nie zapominać, że od pierwszych lat naszego dwudziestolecia dzieli nas cała rewolucja społeczna, kulturalna i naukowa. Inna „wtedy" była młodość, inne problemy. Wtedy niejednokrotnie trzeba było zamieniać ołówek na karabin, wtedy „nie matura, lecz chęć szczera...", wtedy kursy przygotowawcze, likwidacja analfabetyzmu, szkoły zawodowe i hasło: „nie marnuj życia na wsi — czekają na ciebie wielkie budowy".

„Tylko w powiecie zamojskim zwerbowaliśmy do szkół przysposobienia zawodowego ponad 300 dziewcząt i chłopców. Taka była chęć do nauki" — mówił jeden ze „starszych". Potrzeby kształtowały życie.

Dziś stać nas na to, aby postawić młodzieży wysokie wymagania, na miarę dzisiejszych potrzeb. Rację ma starsze pokolenie, gdy nie godzi się z nieuzasadnioną ucieczką młodzieży wiejskiej do miast („choćby sekretarką, maszynistką — byle nie grzebać się w ziemi"). Ma rację starsze społeczeństwo, gdy protestuje przeciw brakowi podstawowych zasad kultury obowiązującej we współżyciu z ludźmi.

„W Krężnicy Okrągłej, w powiecie bełżyckim, jest świetlica wyposażona w telewizor, meble, gry i zabawy. Gromadzka Rada Narodowa wyremontowała ostatnio lokal. Członkowie ZMW rozbili kłódkę, do późnych godzin nocnych grali w świetlicy kartami w gry hazardowe, a potem złożyli zażalenie, że starsi utrudniają im działalność kulturalną". Do licha z taką kulturą.

Faktem jest, że przytoczony wyżej opis dotyczący jednej miejscowości, nie może stanowić podstawy do uogólnień, lecz wobec wysokich zadań i wielkich nadziei, jakie pokładamy w młodzieży budzi on głęboką troskę.

Mówiono na spotkaniu, że przed wojną „matka zabiła dzieci z nędzy", a dziś w tej samej miejscowości jest... telewizor, że przed wojną był słynny znachor, a dziś ośrodek zdrowia, w którym pracuje kilku lekarzy. Prawdziwe to wszystko i godne pamięci. Ale mówiono na spotkaniu także o tym, że do traktorów brak części zamiennych, że od kilku miesięcy nie można naprawić zepsutego telewizora, że w sklepie wiejskim powtarzają się oszustwa.

Starsze pokolenie wspominając niełatwy okres pierwszych lat naszego dwudziestolecia i krytykując młodzież chciało chyba zmobilizować ją do jeszcze bardziej wytężonej pracy, chciało ją przygotować do przejęcia odpowiedzialności za przyszłość wsi i kraju. Młodsze pokolenie broniąc się przed krytyką, wymieniając doświadczenia i opowiadając o swoich osiągnięciach, chciało chyba wykazać, że stać je na przejęcie tej odpowiedzialności. Jeśli tak — to należy uznać to za najważniejszy dorobek spotkania.

Alek.

Optymistycznie

ZBIGNIEW WAWSZCZAK

W WOJEWÓDZTWIE rzeszowskim — podobnie zresztą jak w całym kraju — odbywają się obecnie eliminacje Wielkiego Ogólnopolskiego Festiwalu Zespołów Amatorskich, przygotowanego z okazji obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego. Dotychczas eliminacje takie odbyły się w kilku powiatach, m. in. w Jarosławiu i Strzyżowie.

Jak wiadomo, Rzeszowszczyzna należy do tych regionów kraju, które wykazać się mogą wyjątkowo bogatymi tradycjami w dziedzinie amatorskiej działalności artystycznej. Nasuwa się pytanie, czy ruch ten jest równie żywotny dzisiaj, w dobie szybkiego rozwoju środków masowego przekazywania, zaniku tradycyjnej kultury ludowej, w której zasięgu zrodził się w ówczesnej Galicji, na początku drugiej połowy ubiegłego wieku, ruch amatorski?

I dalsze pytania: jakie wartości reprezentuje obecnie ten ruch? Jaki jest jego stosunek do współczesności? Czy na scenach amatorskich królują nadal pozycje w rodzaju „Zalotów na kwaterze" lub „Diabła na Podhalu"?

Otóż wbrew obawom niektórych działaczy — dotychczasowy rozwój telewizji nie wpłynął hamująco na pracę zespołów amatorskich. Wręcz przeciwnie, działacze Związku Teatrów Amatorskich zwracają uwagę na charakterystyczne zjawisko, z jakim spotkali się ostatnio w powiecie kolbuszowskim. Powiat ten pierwszy w Rzeszowskiem podjął tzw. „eksperyment wągrowski" przystępując przed trzema laty do realizacji hasła „szkoła ośrodkiem życia kulturalnego na wsi". W kolbuszowskim zorganizowano ok. 30 wiejskich ośrodków kulturalnych, wyposażono je w nowczesny sprzęt, zestawy gier klubowych, radioodbiorniki, telewizory. Ogromną popularność zyskały sobie zwłaszcza powstałe przy wspomnianych ośrodkach kluby telewizyjne. I rzecz charakterystyczna: po dwóch latach pracy do Związku Teatrów Amatorskich zgłosiła się grupa nauczycieli, realizatorów eksperymentu — z prośbą o pomoc w utworzeniu teatru ochotniczego. „Bywalcy naszych świetlic, klubów — oświadczyli oni — rozsmakowali się w teatrze telewizji, ale to przestaje już im wystarczać. Powiadają, że chcieliby również sami popróbować gry na scenie". W rezultacie wspomnianej wizyty w kilku wsiach kolbuszowskich powstały zespoły teatralne.

W środowiskach robotniczych, miejskich nie notuje się ostatnio faktów zakładania nowych zespołów, ale istniejące dotychczas wyraźnie okrzepły, umocniły się, zwiększyły liczbę członków.

Ogółem, przy różnego rodzaju organizacjach, instytucjach zarejestrowanych jest w Rzeszowskiem ponad 400 zespołów teatralnych. Tylko połowa z nich rozwija systematyczną działalność. Czy to dużo — w porównaniu z innymi województwami? Raczej tak. Rzeszowszczyzna znajduje się w tej dziedzinie w krajowej czołówce.

Jeszcze przed paru laty repertuar zespołów amatorskich spędzał sen z powiek działaczom i publicystom „od kultury". Jednakże od ubiegłego roku możemy mówić o prawdziwym przełomie w tym zakresie. Przynajmniej w Rzeszowskiem. Już nie tylko zasobne teatry związkowe, ale dziesiątki zespołów wiejskich sięga po pozycje zasługujące na uwagę. Przykłady? Proszę bardzo, pierwsze z brzegu: Narol w powiecie lubaczowskim wystawia „Pałac sprawiedliwości" Wydrzyńskiego, Kuryłówka w powiecie leżajskim — „Krzysztofa" Salaburskiej, Bóbrka w krośnieńskim — „Wzgórze 35" Lutowskiego, Żmigród w jasielskim — „Polskie kredowe koło" Banasiowej, Szalowa w gorlickim — „Historię o chwalebnym zmartwychwstaniu" Mikołaja z Wilkowiecka...

Jak widzimy, rzeszowski ruch amatorski wprowadza coraz chętniej do swego repertuaru ambitne utwory, częstokroć współczesne. Czy w taki sposób postępują wszystkie zespoły? Niestety, nie, zdarzają się jeszcze pomyłki. Ale do przeszłości należy zaliczyć lata, kiedy w repertuarze zwłaszcza wiejskich teatrów ochotniczych dominowały takie pozycje jak „Diabeł na Podhalu" czy banalne sztuczki Lachowicza.

Nie można już dzisiaj mówić o braku wartościowego repertuaru dla amatorów, lecz nadal poważne zastrzeżenia budzi praca powiatowych poradni k.o. przy domach kultury czy bibliotekach. Poradnie te cierpią na chroniczny brak dostatecznie przygotowanych ludzi, a pomoc dla zespołów amatorskich jest często tylko fikcją.

W tej sytuacji poważne znaczenie ma akcja patronatu nad wiejskimi zespołami podjęta w Rzeszowskiem przez zespoły fabryczne, zakładowe. I tak amatorski zespół „Metalowiec" WSK Rzeszów opiekuje się grupą amatorów we wsi Siedliska i Niechobrze, teatr ZDK w Stalowej Woli — zespołami w Pilchowie, Zarzeczu, Rzeczycy, WSK w Dębicy — amatorami w Staszówce. „Opiekunowie" udzielają pomocy instruktażowej, ułatwiają dobór repertuaru, czasami śpieszą z pomocą materialną. Bo trzeba tutaj wyraźnie powiedzieć, że sytuacja materialna większości zespołów wiejskich jest trudna. I jeżeli nie możemy aprobować praktyk niektórych rad zakładowych, dyrekcji, żądających od swych zespołów, aby „zarabiały", to w sytuacji zespołów wiejskich, pozbawionych dostatecznych dotacji, taka działalność „zarobkowa" jest poniekąd usprawiedliwiona: przeciętny zespół wiejski wystawiając jakąś sztukę musi zarobić na dekoracje, na opłacenie kostiumów itp. W województwie rzeszowskim mimo wielu uchwał — nie zdołano dotychczas uruchomić międzyorganizacyjnej wypożyczalni kostiumów. Nie ułatwia to, rzecz prosta, roboty zwłaszcza „niebogatym" zespołom. Muszą one same zdobyć sobie niezbędne środki.

Z pewnością nie jest to najlepsze rozwiązanie i dlatego należy szczególnie przestrzegać przed pogonią za groszem, bo i takie wypadki się zdarzają.

Co można powiedzieć o poziomie przygotowywanych przez amatorów spektakli?

Obserwując ostatnie przeglądy zespołów amatorskich w Rzeszowskiem długoletni działacz tego ruchu, Wiktor Nowicki, określił ów poziom jako nie najlepszy. Zastrzegł się jednak, że oceny dokonywane powinny być na tle porównawczym. Jeszcze w nie tak odległej przeszłości nierzadko posługiwano się przy ocenie zespołów amatorskich — „taryfą ulgową". Stosowała ją zarówno publiczność oklaskując słabe spektakle, jak i jury przyznając nagrody. Obecnie społeczeństwo przyzwyczaiło się do lepszych przedstawień i więcej wymaga się od amatorów. W sumie jednak, patrząc na rozwój ruchu amatorskiego w Rzeszowskiem, trzeba stwierdzić, że nigdy jeszcze nie mieliśmy tak wielu stojących na dobrym poziomie amatorskich zespołów teatralnych.

VIOLETTA SZORC

Desery

zacznijmy od deseru kiedy usiądziemy
głosząc pilnie pochwały wszystkich
[epigonów
przekładanych tak zręcznie
[na zwięzłe formacje
że nawet przygryźć nie można języka —
serwetki czyste złożone trójkątnie
geometrycznym sensem zaprzeczą
[smakowi
za chęć odwetu płacąc obcą głową
na pierwszym planie jest
[szukanie łyżki
lecz potem się zaczyna zazwyczaj
[ich klęska
mlaskanie mierzi wykwintne style
na haftowanych rogach — wbrew
[tradycjom
siedzą okrakiem pestki wypluwane —
tutaj się kończy estetyki triumf
zdobnych talerzy i resztek obrusa
desery cienkie pożeramy szybko
— bardzo się znowu spiesząc
[na kolację

Korespondencja

ZA CZERNIKIEM

W numerze 13 „Kameny" z r. 1963 ukazał się artykuł Jana Grygla pt. „O chłopskim pisarstwie Rzeszowszczyzny". Ktokolwiek interesuje się literaturą ludową nie może nie zauważyć w w artykule pewnej osobliwości. Otóż Grygiel dając wykaz 17 pisarzy ludowych po prostu powtarza za Stanisławem Czernikiem to, co już w jego książce „Chłopskie pisarstwo samorodne" (PIW, 1954) zostało napisane. Powtórka ta nie dotyczy jedynie nazwisk Stryczka i Turka, którzy wystąpili później i w książce Czernika nie mogli być uwzględnieni. Dziwna to praktyka „korzystania" ze źródła bez powołania się na nie.

Dziwna tym bardziej, że Grygiel do swego artykułu przeniósł również pewne niedokładności Czernika. Przyjrzyjmy się im bliżej. Wymieniając Ferdynanda Kurasia Czernik nie podaje dokładnie miejsca jego pobytu. Mówi ogólnie „spod Tarnobrzegu". To samo Grygiel. Przy Janie Słomce nie ma daty urodzenia i śmierci u Czernika, nie ma więc i u Grygla. Identycznie — w wypadku innych pisarzy, jak np. Wojciech Wiącek, Walenty Kunysz, czy Stanisław Kotula. Czytelnik obeznany z zasadami informowania mógłby prawem hurtu wszystkich czterech zaliczyć do żyjących, lub widzieć w świetej ziemi. Tymczasem dwaj pierwsi nie żyją, a dwaj ostatni cieszą się najlepszym zdrowiem i piszą.

Czernik opracowując „Chłopskie pisarstwo samorodne" musiał opierać się na materiale rozsianym po całej Polsce. Stąd pewne trudności w dokładnym informowaniu. Ale też uzasadnienie dla geograficznych informacji nie zanadto szczegółowych, skoro książka dotyczy terenu całej Polski. Owe geograficzne ogólniki nieuzasadnione są jednak w wypadku, gdy ktoś pisze o terenie znacznie szczuplejszym, a w dodatku sam na nim przebywa. W ten sposób jest widoczne, że artykuł „O chłopskim pisarstwie Rzeszowszczyzny" nie powstał — jakby się należało spodziewać — w wyniku terenowych studiów i wnikliwej penetracji, ale w trybie dość powierzchownej „ekscerpty" z opracowań, a właściwie opracowania już istniejącego. Metoda to w pracy etnograficznej dość wątpliwej jakości.

Franciszek Kotula

PRZED FRONTEM

KRZYSZTOF WÓJTOWICZ

NIEPOKÓJ matki jest widoczny. Boi się o rzeczy zostawione w Lublinie i o ojca przebywającego w bombardowanym mieście. Korzystając z okazji mam się jutro tam wybrać i wpaść do naszego mieszkania, pustego od czasu, kiedy wyjechaliśmy na wakacje. Podobno miasto płonie i została zeń tylko kupa zgliszcz. Chciałbym to zobaczyć na własne oczy. Wieczorem przyszedł sąsiad Suliga i zaczął ładować wóz na nocną podróż. W dzień niebezpiecznie jeździć, bo Niemcy strzelają z samolotów nawet do ludzi pasących bydło. Wczoraj pod Bełżycami zabili jakiegoś chłopa i krowę.

O północy wyszliśmy przed dom. Ziemia z lekka dudniła pod nogami i w południowej stronie niebo widniało różowym poblaskiem. Przechodzący uciekinierzy opowiadali o walkach toczonych przy przeprawie na Wiśle koło Józefowa.

Rano 16 września Andrzej jak zwykle poszedł do Chodla, do kierownika szkoły, posłuchać radia. Po godzinie wrócił jakiś skurczony i zacięty.

— Front się zbliża, nie trzeba się namyślać, tylko wiać.

— Dokąd? — zapytałem ponuro.

— Przed siebie, na Wołyń, do Rumunii. Dobrzy ludzie się znajdą. A zresztą drogę będziemy obmyślać już na wozie.

Zaczęliśmy szybko jeść obiad, to ładując wóz, to jedząc — na przemian.

Gdzieś koło trzeciej przyleciała z Jeżowa wystraszona Stolarska.

— Ludzie! Przyszła depesza z gminy, że wszystkie chłopy od czternastu do sześćdziesięciu lat mają uciekać!

W domu gwałt, wszystko idzie na furę, konie do dyszla i w drogę. Andrzej klnie, bo nie może odwiązać półszorków od orczyka, wreszcie przecina sznur nożem i zakłada na konie nową uprząż. Ruszamy prosto przed siebie w kierunku na Bychawę, na Bug. W domu zostaje prawie wszystko. Na wozie mamy żywność dla siebie i dla koni. Zostaje pełna świeżo sprzątniętego żyta stodoła. Matka z płaczem prosi sąsiadów, aby w razie przybycia najeźdźców zboże spalili. Padają uroczyste przyrzeczenia, że kto zostanie żyw, ten słowa dotrzyma.

Za nami wolno się toczy wóz pełen chodelskich Żydów uciekających przed wojną. Na naszą furę przesiada się od nich nasz znajomy, młody Abram, który nas wiezie aż do Bychawy. Konie idą powoli, Andrzej i matka rozmawiają z Abramem. Żydzi jadący tuż za nami nie tracą dobrego humoru i opowiadają sobie kawały, ja wsuwam jednego pomidora za drugim.

O zachodzie słońca dojechaliśmy do Borzechowa. Przed chałupy wylegli ludzie pytając, skąd jedziemy. Byli bardzo przestraszeni, że Chodel otrzymał nakaz ewakuacji i powiedzieli, że wkrótce chyba i oni uciekną.

Jedziemy dalej. Wtem na drodze tuman kurzu i pędzą dwa konie. Żydzi w krzyk i mówią, że idzie wojsko. Faktycznie przodem galopuje trębacz, a za nim gruby rotmistrz kawalerii. Czarny, zakurzony z opadłymi na dół wąsami. Jakiś znajomy. Podjechał bliżej, poznaję — rotmistrz Tracki z 24 pułku ułanów z Kraśnika. Poznał mamę, ale tylko w pędzie zasalutował i już kurz za nim pozostał. Zupełnie inaczej wyglądał niż wtedy u nas, kiedy to prosił rodziców na pułkowe święto. Wtedy długo w noc pili z moim ojcem i wujkiem. Do północy nie mogłem zasnąć, bo po „Czerwonym pasie" i „Burzy co huczy wokół nas" Tracki rozpoczął z nożem w zębach dzikie skoki po pokoju i dotąd cbija mi się po mózgu natrętna, skoczna melodia: „Etot nasz abyczaj kaukaski, ej, ho, ho ho!"

Na dworcu w Niedrzwicy, dokąd dojechaliśmy koło północy, było cicho, tylko z daleka dolatywał pomruk dział. W ciemnościach szczególnie smutno wyglądały cztery spalone po nalocie cysterny stojące na bocznym torze. Obok magazyn ze zbożem z wywaloną przez bombę dziurą w dachu. Kupy ziarna walały się pomieszane z błotem. Na rampie pasł się spokojnie młody źrebak. Jak i skąd się tu wziął — diabli wiedzą. Podszedł do nas ktoś miejscowy i zaprowadził do leja wyrwanego przez bombę. Dół był głęboki i mógł mieć ze sześć metrów średnicy.

Rozprzęgliśmy konie i do rana, szczękając zębami z zimna mimo grubych kocy, jakoś przemęczyliśmy noc. Świt przyniósł nam widok maszerującego wojska. Oddział zakurzony i przeświecający gdzieniegdzie bielą świeżo nałożonych bandaży ruszył z nami w jednym kierunku. A więc i oni się cofają.

Zmordowani żołnierze szli opierając się o nasz wóz, nie mówili nic, tylko ćmili grube skręty z wyfasowanej machory.

Kiedy słońce zaczęło dopiekać, siedli w rowach, złożyli broń w kozły i zaczęli rwać śliwki.

My pojechaliśmy dalej. Przed samą Bychawą zobaczyliśmy na drodze większą grupę ludzi. Kiedy chcieliśmy ich wyminąć, powstał krzyk i płacz Zaczęto tłoczyć się ku wozom. Byli to uciekinierzy idący aż spod Częstochowy i nie mający już sił. Szli do Bugu. Ostatecznie pomimo protestów Abrama i mamy na wóz wlazły cztery osoby i żołnierz. Drżeliśmy całą drogę o wóz spięty jednym cienkim łańcuchem i mocno zeschnęty. Żołnierz wysiadł w majątku w Strzyżewicach, uciekinierów wyładowaliśmy dopiero na Rynku w Bychawie.

W mieście pomimo nocy był ruch i stało wojsko. Co chwila przyjeżdżały wozy z amunicją, jechały podwody, oficerowie klęli, nie mogąc znaleźć drogi do stacji w Niedrzwicy. Na środku rynku stały dwa działa i reflektor liżący co chwila niebo, aby po sekundzie zgasnąć. Dokoła przelatywali wojskowi, żołnierze stojący w pełnym rynsztunku i czekający na odmarsz wybijali w miejscu dla rozgrzewki takt wojskowego marsza.

Andrzej chodził niespokojnie koło wozu, klął, a mama jęczała co chwila „O Boże", pytając się nas czy nie napijemy się herbaty.

Obudziłem się rano w stodole, w zapolu pełnym siana.

— Dopiero osiemnasty września — pomyślałem — jak te dni wolno płyną.

Andrzej powtórzył mi komunikat głównej kwatery wodza naczelnego, że lotnictwo nieprzyjaciela bombardowało Wołyń i że ciężkie walki toczą się na Pomorzu. Niemcy w okolicy Opola Lubelskiego przekroczyli Wisłę, ciężkie boje toczą się koło Siedlec i Łukowa. Natarcie czołgów na Lwów odparto. Niemcy rozpoczęli szturm na Modlin.

Wychodzimy na podwórze. Wstaje świeży ranek wrześniowy. Szosą od Wilkołaza ciągnie nieprzerwany sznur samochodów, piechoty i kawalerii. Od maszerującej kolumny dolatuje wesoły pogwar obcych głosów. Naszych wojsk nigdzie nie widać.

Okupanci wydali odezwę do ludności, aby się nie bała i powróciła do swych domów i zajęć.

„Rewolucja kapitalistyczna"

(Dokończenie ze str. 5)

cym o wyniku działalności gospodarczej jest wolna gra interesów, którą rządzi prawo podaży i popytu, a państwo nie wywiera żadnego wpływu na przebieg wydarzeń gospodarczych ograniczając się do zapewnienia obywatelom bezpieczeństwa obrotu i wolności „szukania szczęścia". Tego rodzaju model gospodarczy, ściśle mówiąc, nigdy w naturze nie istniał. Owszem, istniała w świadomości doktrynerów idea pozostawienia życia gospodarczego wolnej grze interesów. Ale historia nie zna takiej organizacji państwowej, której kierownictwo nie podejmowałoby polityki ekonomicznej, tj. nie usiłowało oddziaływać na przebieg życia gospodarczego w pewnym pożądanym dla siebie kierunku.

Podstawowa idea współczesnego „liberalizmu demokratycznego", idea wolnej konkurencji jako postulat praktyczny jest mętna, nieczytelna i po prostu demagogicznie zwodnicza. Myśl głoszona przez liberalnych ekonomistów XIX wieku — że każdy obywatel powinien mieć równy start do działania w warunkach wolności gospodarczej i że każdy dążąc do własnej korzyści działa dla dobra powszechnego — myśl ta powstała tylko jako reakcja rewolucji burżuazyjnej przeciwko krępującym jej działalność więzom, jakie na nią nakładała monarchia absolutna (merkantylizm). Dziś tego rodzaju myśl nie jest traktowana poważnie przez nikogo — jest głoszona przez polityków jako hasło partyjne dla gwałtownego przeciwstawienia się programowi gospodarczemu przeciwników politycznych.

Właśnie stworzenie warunków wolnej konkurencji prowadzi do jaskrawej nierówności „startu". Uczestnicy „zawodów" bardziej zasobni, zdolniejsi, bezwzględniejsi, szczęśliwsi dystansują innych, niszczą ich ekonomicznie i stwarzają dla siebie w starcie do następnych etapów uprzywilejowane, nieraz monopolistyczne stanowisko — wyłączające tyle sławioną wolną konkurencję.

Samo życie wytwarzało środki ograniczające wolność gospodarczą i zapobiegające fatalnym skutkom wolności konkurencji. Ciężar tych skutków zmniejsza się, jeśli przedsiębiorstwo prowadzi nie jednostka fizyczna albo mała ich grupa, ale liczny zespół osób, z których każda wnosi niewielki kapitał, a odpowiedzialność wspólnika ogranicza się tylko do wysokości wniesionego udziału. Dalsze zmniejszenie ryzyka niepowodzenia przedsięwzięcia w warunkach wolnej konkurencji odbywa się w drodze łączenia wieloosobowych spółek w wielkie zrzeszenia spółek opanowujących rynek. Taka koncentracja i centralizacja kapitału nie tylko zmniejsza ryzyko niepowodzenia, ale w znacznym stopniu ogranicza lub nawet wyłącza konkurencję. Taki jest sens dziejów powstawania wielkich spółek akcyjnych (corporations) i różnych tworów monopolistycznych: karteli, trustów, koncernów, syndykatów, holdingów. Obok tych tworów organizacyjnych i w związku z nimi powstają wielkie zrzeszenia branżowe i regionalne kapitalistów oraz gigantyczne zrzeszenia związków zawodowych.

Te jednostki organizacyjne kapitalizmu XX wieku, kapitalizmu nie żywiołowego, lecz zorganizowanego, odgrywają w USA doniosłą rolę: determinują życie społeczne i państwowe. Stosunek „korporacja — państwo" jest przedmiotem pilnych badań ekonomistów, socjologów, prawników. Bada się istotę tego stosunku, wzajemne oddziaływanie i jego przyszłość: w jakim kierunku zmierza rozwój. Przez jednostki organizacyjne kapitalizmu rozumiemy oczywiście branżowe i regionalne organizacje kapitalistów, ale przede wszystkim owe korporacje, koncerny, trusty itd. Za takimi firmami amerykańskimi, jak Du Pont, General Motors, United States Steel, General Electric, Standard Oil of New Jersey itd., kryją się wielkie potęgi finansowe. Samo istnienie ich wywiera nacisk na strukturę polityczną. Przeobrażają one ustrój polityczny.

We wczesnym średniowieczu czynnikiem organizującym i normującym życie społeczne, życie poszczególnych grup społecznych były grupowe (stanowe) organizacje: feudałów, mieszczan, rzemieślników, duchowieństwa. W okresie monarchii absolutnej wysuwa się na czoło życia organizacja państwowa — wszechpotężna, ingerująca jako czynnik normujący i dający opiekę obywatelom. Tomasz Hobbes, klasyczny myśliciel polityczny XVII w. uczył, że państwo to wielość ludzi zjednoczona w jedną osobę, wielki Lewiatan (olbrzymi potwór morski Starego Testamentu), któremu zawdzięczamy nasz pokój i naszą obronę; jemu winniśmy bezwzględne posłuszeństwo. Potęga państwa i zasięg jego interwencji wzrastały nieustannie. W XIX w., w dobie rewolucji burżuazyjnych ukształtował się w polityce ekonomicznej kierunek liberalizmu występujący przeciwko absolutyzmowi państwa policyjnego krępującego życie gospodarcze. Kierunek ten głosił wolność przemysłową, wolną konkurencję. Ale już w końcu wieku specyficzna dla rozwoju nowoczesnego kapitalizmu centralizacja i koncentracja kapitałów prowadzi do powstania wielkich, w skali krajowej i międzynarodowej organizacji przedsiębiorstw kapitalistycznych — monopoli. Monopole nie wyznają już przestarzałej zasady, że życie gospodarcze powinno być pozostawione „wolnej grze" interesów poszczególnych jednostek. Wymagają one od państwa, żeby rząd jako ich ramię nie pozostawiał spraw gospodarczych ich własnemu biegowi, ale kierował życiem gospodarczym odpowiednio do potrzeb monopoli.

XX wiek jest okresem powstawania nowego czynnika politycznego. Wielkie jednostki organizacyjne życia gospodarczego zaczynają wywierać decydujący wpływ na działalność państwa. Powstaje dla nich nowa nazwa akcentująca ich rolę polityczną: „grupy nacisku", „grupy interesów" („pressure groups", „interest groups"). Wpływają one swą potęgą gospodarczą i finansową na ustawodawstwo i administrację. Ich kierownicy i kierownicy nawy państwowej są ze sobą w ścisłym kontakcie, stanowią jedną warstwę. Jest to warstwa rządzących. C. W. Mills („Elita władzy", 1961, tłum.) twierdzi, że w Stanach Zjednoczonych „trusty... umiały z łatwością posługiwać się względnie słabym aparatem państwowym dla swoich własnych celów. Fakt, że przysługująca zarówno stanom, jak i państwu, władza kontrolowania gospodarki prywatnej była wyraźnie ograniczona, oznaczał w rzeczy samej, że samo państwo i stany były kontrolowane przez wielki kapitał. Władza państwowa i władza stanu były rozproszone i niezorganizowane, natomiast władza korporacji przemysłowych i finansowych była skoncentrowana i zwarta".

Badacze stosunku „korporacja — państwo" nie mogą oprzeć się wrażeniu, że treść życia społecznego i państwowego w USA tworzą korporacje, a państwo tylko nadaje tej treści odpowiednią formę instytucjonalną. Czy nie otwiera się w dziejach USA nowy okres dziejowy, w którym państwo kapitalistyczne traci powoli swoją suwerenność na rzecz zorganizowanego kapitału?

Emanuel Iserzon

Cymbarka

Pocztówka z Innsbrucka

W gruncie rzeczy o Tyrolu wiemy na co dzień niewiele. „Ptasznik z Tyrolu", „Tyrolskie tango" i... konserwy tyrolskie á 21 zł puszka, produkowane w kieleckiej Koprzywnicy — to bodajże wszystko. Zresztą i w Tyrolu wiedzą o nas niewiele więcej. Harmonista w jednym z lokalów w Innsbrucku chcąc zrobić przyjemność gościowi z dalekiej Polski, najpierw długo się namyślał, wreszcie zagrał „Wołga, Wołga", a zaraz potem — i chyba na wszelki wypadek — „Rozkwitały jabłonie i grusze...". Portier w tym samym lokalu deklarował skwapliwie, że zna Polskę z czasów wojny, że był w Siedlcach i Białymstoku, a ja nie mogłem jakoś opędzić się od nieujawnionego zresztą pytania — coś ty tam w tych Siedlcach i Białymstoku robił? Jednym słowem wiemy o sobie niewiele, ale miło jest w stolicy zimowej Olimpiady spotkać się oko w oko z niebyle jaką pamiątką, wiążącą się z historią naszego kraju.

Idziemy do „Hofkirche". Jest to kościół przy pałacu Habsburgów, zbudowany w XV wieku — z myślą o umieszczeniu w nim grobowca Cesarza Maksymiliana I, w otoczeniu posągów jego autentycznych i nawpół legendarnych przodków. Począwszy od roku 1502 przez lat trzydzieści trwała gigantyczna praca kilkunastu artystów rzeźbiarzy nad projektowaniem, a następnie odlewaniem w brązie lub miedzi dwudziestu ośmiu postaci ponadnaturalnej wielkości. Trzy wśród nich — króla Gotów Teodoryka, króla Artura i hrabiego Albrechta Habsburga — wykonał sam Albrecht Dürer. Ale uwagę Polaka przykuwa imponujący posąg Cymbarki, najstarszej z pięciu córek Ziemowita IV Mazowieckiego, siostrzenicy Władysława Jagiełły — odlany w miedzi według projektu monachijskiego artysty Gilga Sesselschreibera w roku 1516. Kim była dla Habsburgów Cymbarka, czyli jak widnieje w austriackim katalogu — „Zimburgis von Masovien"? W roku 1412 ożenił się z nią przybyły w tym celu do Krakowa Ernest I Żelazny, książe Austrii, Styrii, Karyntii i Krainy. Jak pisze Paweł Jasienica „Cymbarka... odznaczała się niebywałą siłą fizyczną i przekazała swą piastowsko-litewską krew aż dziewięciu małym Habsburgom płci obojej, z których pierworodny miał zasiąść na tronie jako Fryderyk III".

Rzeźba Cymbarki, babki Maksymiliana I stoi na honorowym miejscu, pierwsza od ołtarza po prawej stronie. Księżniczka polska trzyma w lewej ręce książkę, zaś prawa dłoń, podobnie jak u wszystkich posągów, obejmuje niewidzialną świecę, wkładaną widocznie niegdyś i zapalaną z okazji rocznicowych uroczystości. Całość tego 28-osobowego szpaleru koronowanych głów — wokół, nota bene, pustego i symbolicznego tylko grobowca (prochy Maksymiliana I spoczywają w Wiedniu) robi trochę niesamowite wrażenie, które można sobie w wyobraźni jeszcze bardziej spotęgować dając każdej z metalicznych postaci autentyczną i palącą się gromnicę do ręki... Warto również podkreślić niecodzienność i niepowtarzalność imienia Cymbarka, które bodajże raz tylko pojawiło się w historii. I mimo, że o Innsbrucku można pisać więcej i na różne tematy, odnaleziony niespodziewanie pomnik Cymbarki wydał mi się sprawą najbardziej interesującą i sympatyczną.

Jerzy Butwiłło

O sztuce tłumaczenia

„Table ronde" Międzynarodowego Pen Clubu, jakie odbyło się w Reims przy końcu ubiegłego roku, było przedmiotem ostatniego zebrania literackiego polskiego Pen Clubu. Konferencję Okrągłego Stołu w Reims poświęcono przekładom i adaptacjom scenicznym. Temat to rozległy, ciekawy i wręcz pasjonujący, co podkreślił, otwierając zebranie, prezes Jan Parandowski. Tłumacz, twórca niejako wtórny, potrafi nadać przekładanemu dziełu piętno swej indywidualności, przewyższając niejednokrotnie walory oryginału. Szczegółowe i wnikliwe sprawozdanie z Konferencji w Reims złożył jej uczestnik, Wojciech Natanson. Debaty Konferencji zmierzały do ujęcia we wspólny nurt rozległej fali tłumaczeń i adaptacji teatralnych, do ustalenia specjalnej listy sztuk, które miałyby adaptacjom podlegać. Zdarza się bowiem, że dziś, wobec coraz szerszego kręgu usamodzielnionych narodów i mnogości języków, które do niedawna nie były literackimi, sztuki dramaturgów europejskich i innych są grane w odległych zakątkach Malajów czy Wietnamu, a ich twórcy zupełnie o tym nie wiedzą. Podkreślał to szczególnie wybitny dramaturg francuski, Jean Salacrou, którego sztuki są gdzieś „zagubione" po świecie. Uregulowaniu tych spraw mają służyć agencje teatralne, stojące na straży obrony praw autorskich.

Ciekawe były wypowiedzi uczestników Konferencji w Reims na temat dramaturgii polskiej. Otóż stwierdzono, że dramaturgia ta to niejako zbiór polskich mitów, nie zawsze zrozumiałych dla obcych. To dramaturgia zbyt polska i owa polskość stanowi często czynnik odstraszający od adaptacji naszych sztuk. Należy przy tym zaznaczyć, że jeśli chodzi o definicję adaptacji teatralnej, panuje w tej dziedzinie raczej pomieszanie pojęć. Niektórzy twierdzą, że jest to wychwytywanie z obcego dzieła właśnie czegoś nieobecnego w literaturze własnej, czegoś, co zafrapowało adaptatora, co chciałby pokazać. Adaptacja zawiera przy tym element dowolności i nie liczenia się z twórcą. Ten liberalizm prowadzi często do wypaczenia dzieła pierwotnego.

Uzupełnieniem sprawozdania z Konferencji w Reims był referat Jerzego Zagórskiego.

Zagórski mówił o różnorodności rodzajów tłumaczeń, subtelnie różniących się między sobą, jak: trawestacja, transkrypcja, spolszczenie, przekład, adaptacja. Wszystkie one dają pole do popisu temu, który ich dokonuje, z jednoczesnym usuwaniem na plan drugi twórcy właściwego, co oczywiście nie powinno mieć miejsca. Ideałem jest bowiem wierność oryginałowi.

Gdy we własnym języku znajdzie się słowo, to najwłaściwsze i jedyne, które nie może być zastąpione innym, słowo, oddające sens obcego — odczuwa się więź z człowiekiem innego narodu, z jego myślą, duchową wspólnotę, nie znającą barier i granic. Właśnie owej wspólnocie ludzkiej mają służyć tłumaczenia i taki był główny sens i cel „table ronde" w Reims, którego rozwinięciem przeniesionym na polski grunt było ostatnie zebranie Pen Clubu.

J. Radzymińska

SELEKCJA

(Dokończenie ze str. 7)

SS-owców. Cieszyła się ich sympatią i zaufaniem. Nikt w obozie nie wiedział, co kryje się za obojętną maską tej młodej dziewczyny, która była tutaj od chwili powstania Birkenau. Tutaj zginęła cała jej rodzina. Ją jedną pozostawiono przy życiu. Nic nie było w stanie jej wzruszyć. Zimna, bezwzględna nie wahała się uderzyć nawet starej kobiety. Biła wyłącznie po twarzy.

Komendant stał zimny i obojętny z uśmiechem, który nie schodził mu z twarzy. Do niczego się nie wtrącał. Tylko od czasu do czasu pogardliwym ruchem kopnął jakąś kobietę.

Młodziutka, naga dziewczyna, dziecko jeszcze prawie korzystając z chwili, gdy nikt nie zwracał na nią uwagi, podniosła deskę, która stanowiła pokrywę latryny, jaka znajdowała się na podwórzu i szybko zanurzyła się w otworze, a potem również prędko opuściła z powrotem deskę. Uratowana! Byłam pewna, że nikt nie zauważył jej „ucieczki".

Podwórze opustoszało zupełnie. „Ładowali" już ostatni samochód. Komendant nachylił się do Taubera i coś mu szepnął konfidencjonalnie. Na twarzy *Raportführera* zjawił się szatański uśmiech, od którego widoku krew ścięła mi się w żyłach i serce przestało bić.

Tauber zawołał donośnym głosem SS-mana, który natychmiast przybiegł. Tauber wskazał mu pokrywę latryny. SS-owiec uniósł ją i stał chwilę nie wiedząc widocznie, co dalej ma czynić. Tauber wziął od niego bagnet, zamienił kilka słów z komendantem, który wskazał mu miejsce, w którym zanurzyła się dziewczyna. Przez chwilę *Raportführer* grzebał tam bagnetem, aż wyciągnął ją nadzianą na ostrze bagnetu i rzucił na ziemię, śmiejąc się na całe gardło.

Oszalała z bólu i strachu dziewczyna przyczołgała się do komendanta i chwyciwszy go za nogi z płaczem zawołała: „Chcę żyć! Jeszcze żyć! Żyć!..."

Komendant rozkazał SS-owcowi zabrać nieszczęsna „uciekinierkę". Kopnął ją jeszcze na pożegnanie i z wyrazem nieopisanego wstrętu warknął: *„Raus! Auf den Wagen laden!"* ****).

SS-owiec zabrał trzepocącą się i wyrywającą się mu z rąk dziewczynę.

Komendant wraz z całą świtą opuszczał podwórze. Na bramie służbiście żegnała go Cilli. Poklepał ją po plecach. Był w dobrym humorze.

Stanisława Gogołowska

****) Załadować na wóz.

Długa seria pytań–propozycji

STANISŁAW ŚWIERAD

CO ŁĄCZY cztery województwa związane aliansem — lubelskie, białostockie, rzeszowskie i kieleckie? Jakie są źródła nawiązania przez te województwa ścisłej współpracy? Czy sojusz czterech województw nie wynika ze zwykłego przypadku? Pamiętam, że podobnych pytań więcej padło na spotkaniu publicystów lubelskich, białostockich, rzeszowskich i kieleckich, które odbyło się pół roku temu w przyjemnej kawiarence na lubelskim Zamku. I nie zamierzam odpowiadać, polemizować. Chciałbym raczej zastanowić się nad możliwościami i potrzebami rozszerzenia współpracy o dziedzinę gospodarczą.

W tej dziedzinie, podobnie jak w kulturze, potrzebna jest, a nawet konieczna ścisła współpraca lubelskiego, białostockiego, rzeszowskiego i kieleckiego. Bardzo długo należały te ziemie do regionu wyraźnie zacofanego gospodarczo, w powojennym dwudziestoleciu dokonały się na tych terenach znaczne przeobrażenia i nie przypadkowo na pierwszym miejscu stawia się przemiany ekonomiczne. One warunkują w dużym stopniu aktywizację, postęp społeczny i kulturalny.

Jasną jest rzeczą, że wschodnie rejony Polski nie są krainą mlekiem i miodem płynącą, wiekowych opóźnień nie można zniwelować w okresie pięciu, dziesięciu, nawet dwudziestu lat. Lecz czy można przyspieszyć proces aktywizacji gospodarczej czterech wschodnich województw? Oczywiście można. Po takiej odpowiedzi musi paść słowo — inwestycje. Chyba nie ma miasta i miasteczka, które nie wysuwałoby tego rodzaju żądań.

Gospodarką narodową rządzą określone prawa ekonomiczne, jeśli się je naruszy — muszą nieuchronnie nastąpić perturbacje w funkcjonowaniu organizmu państwowego. Niedawno jeszcze raz przekonaliśmy się, że możemy inwestować w określonych, proporcjonalnych do możliwości ilościach. Czy równa się to stagnacji gospodarczej? Bynajmniej. Najlepiej wykazały to sesje konferencji samorządu robotniczego w zakładach produkcyjnych i przedsiębiorstwach budowlanych.

Tak, oczywiście, mam na myśli rezerwy produkcyjne, których uruchomienie i wykorzystanie niewątpliwie może pomnożyć majątek zakładowy, powiatowy, wojewódzki i ogólnonarodowy. Uczestnicząc w konferencjach samorządu robotniczego niejednokrotnie słyszałem, jak wypowiadano cztery słowa: Białystok, Lublin, Kielce, Rzeszów. Sesje KSR wykazały, jak bardzo potrzebna jest współpraca czterech zaprzyjaźnionych województw na gruncie gospodarczym.

Zacznę od dużych, kluczowych zakładów przemysłowych. Prawie wszystkie współpracują, kooperują z pokrewnymi i niepokrewnymi fabrykami. Przykład — Wytwórnia Wyrobów Precyzyjnych w Czarnej Białostockiej produkuje pralki elektryczne oraz lodówki. Znaczną część elementów otrzymuje od Zakładów Metalowych w Kielcach. Czarnobiałostocka wytwórnia zatrudnia wielu fachowców, którzy przybyli tutaj z zakładów metalowych położonych w województwach rzeszowskim i kieleckim.

Od razu muszą nasunąć się dwa pytania: czy nie można przedyskutować zagadnień związanych z usprawnieniem kooperacji pomiędzy zakładami czterech województw i czy nie można porozumieć się w sprawie wymiany fachowców? Rzecz w tym, że zakłady dysponują często nadwyżkami pracowników określonej specjalności i jednocześnie odczuwają braki innych specjalistów. Sprawa ważna, ponieważ dokonywane zmiany, reorganizacje, zmuszają do oszczędnej gospodarki kadrami.

Na kilku konferencjach samorządu robotniczego opowiadano o wędrówkach białostockich kierowców do Lublina. Po co? A po to, że w lubelskim „Motozbycie" łatwo kupić powczęści zamienne do samochodów. Części tych całymi miesiącami nie ma w białostockich sklepach. A w Lublinie są. Czyżby lubelski „Motozbyt" był idealnym przedsiębiorstwem handlowym? Nie chcę tego dociekać. Czy jednak pielgrzymki do lubelskiego „Motozbytu" z Białegostoku, Suwałk, Ełku i Łomży nie są przypadkowo za drogie? Czy nie prościej byłoby, gdyby białostocki i lubelski „Motozbyt" wzajemnie się porozumiały i wymieniły część swych zapasów?

Na konferencji w Białostockim Przedsiębiorstwie Budownictwa Miejskiego zabierał głos jeden z robotników. Znam go dosyć długo — sumienny rzemieślnik. „Przywożą na budowę cement — mówił — majster nie orientuje się, ile należy dawać cementu określonej marki do zaprawy betoniarskiej. Dla niego istnieje tylko jeden cement. Fachowcom z Rejowca czy Chełma nie trzeba wyjaśniać, że takie postępowanie niedouczonych majstrów i brygadzistów powoduje olbrzymie marnotrawstwo cennego materiału budowlanego. A może by tak zorganizować majstrom z Białegostoku wycieczkę do cementowni w Rejowcu?". Taką propozycję zgłosił wspomniany robotnik.

Na konferencjach dyrektorzy podawali informacje o zapasach posiadanych materiałów, surowców i prefabrykatów. Magazyny zapełnione. Przedsiębiorczy zaopatrzeniowcy niektórych zakładów nagromadzili tyle zapasów, że starczy im na kilka pięciolatek. Czy nie można byłoby zorganizować giełdy dla przedsiębiorstw uspołecznionych z czterech zaprzyjaźnionych województw? O ile się orientuję, imprezy takie odbywały się w innych miastach. Na pewno przedstawiciele zakładów przemysłowych znaleźliby na giełdzie sporo materiałów, części zamiennych do maszyn, których bezskutecznie poszukują w Katowicach, Wrocławiu czy Łodzi.

I jeśli już mowa o współpracy ekonomicznej, koniecznie wypada wspomnieć o budownictwie. Niedawno rozstrzygnięty został konkurs na projekt budynku mieszkalnego przykładowo oszczędnego. W konkursie rozpisanym przez białostocki oddział SARP wzięły udział zespoły projektowe z Białegostoku, Warszawy, Lublina i Olsztyna. Konkurs przyniósł znaczne rezultaty. Organizatorzy, przede wszystkim zaś inwestorzy, otrzymali naprawdę wartościowe, oszczędne projekty. Chyba wyniki konkursu należałoby upowszechnić na terenie czterech zaprzyjaźnionych województw.

Sprawa budownictwa oszczędnego nie kończy się jednak na projektach. Konferencje samorządu robotniczego w białostockich przedsiębiorstwach budowlanych wykazały, że istnieją realne możliwości obniżenia kosztów realizacji inwestycji mieszkaniowych. Zmorą budownictwa jest tzw. szturmowszczyzna, której wyeliminowanie zależne jest w dużej mierze od sprawnej, należytej organizacji pracy. I tutaj wymiana doświadczeń pomiędzy przedsiębiorstwami z czterech województw może przynieść pożyteczne rezultaty.

W przedsiębiorstwach budowlanych rozwija się racjonalizacja i wynalazczość pracownicza. Klub Techniki i Racjonalizacji w Białostockim Przedsiębiorstwie Budownictwa Miejskiego należy do najlepszych na Białostocczyźnie. Na pewno podobnymi osiągnięciami mogą pochwalić się kluby lubelskie, rzeszowskie i kieleckie. Czy nie warto więc upowszechnić usprawnień i wynalazków w przedsiębiorstwach budowlanych czterech województw?

Białostockie przedsiębiorstwa budowlane dysponują stosunkową dużą ilością maszyn i urządzeń. Niestety, nie są one w pełni wykorzystane. Przyczyny — różne. Jedną z nich jest długa i ostra zima na Białostocczyźnie. Koparki i spychacze często jeszcze w marcu i kwietniu nie mogą pracować, ponieważ ziemia jest zamarznięta. A przecież maszyny to wielki kapitał. Czy nie można pomyśleć o „zorganizowaniu międzywojewódzkiej" wypożyczalni sprzętu budowlanego? Przecież maszyny, które są unieruchomione na Białostocczyźnie, w tym samym czasie z powodzeniem mogą być wykorzystane na Lubelszczyźnie lub Kielecczyźnie.

Białostocczanie narzekają, iż budynki postawione dziesięć lat temu nie posiadają zewnętrznych elewacji. Padają gromy na przedsiębiorstwa budowlane, które z reguły tłumaczą się brakiem ludzi i materiałów. Od kieleckich kolegów dowiedziałem się, że kombinat „Dolina Nidy" produkujący suche, gipsowe tynki nie ma zamówień na swoje wyroby. Budowlani nie chcą stosować materiałów gipsowych. Powód? Po prostu gips to nowość. Chcąc go stosować w budownictwie trzeba posiadać odpowiednie przygotowanie fachowe. Czy nie można wspólnie, pod auspicjami dyrekcji „Doliny Nidy", zorganizować jakiegoś szkolenia lub konferencji?

Współpraca gospodarcza pomiędzy czterema województwami może się realizować na kilku płaszczyznach. Nie zamierzam referować innych możliwych form kooperacji ekonomicznej, zasygnalizowałem tylko kilka konkretnych przykładów, aby podkreślić, że współpraca w dziedzinie gospodarczej obecnie, kiedy borykamy się z dużymi trudnościami i musimy stawiać przede wszystkim na wykorzystanie dostępnych rezerw produkcyjnych, jest po prostu nakazem chwili, przynieść może naprawdę pożyteczne rezultaty i w dużym stopniu może się przyczynić do szybszej aktywizacji gospodarczej czterech województw przynależnych kiedyś do przysłowiowej Polski „B".

SANOCKI STAN POSIADANIA

OLGIERD JĘDRZEJCZYK

JEST to miasto, do którego się tęskni. Tęskni się mimo powierzchownej znajomości grodu, który przecież ma nie byle jaką przeszłość.

Natarczywość historii jest tutaj łagodzona nieco przez tłumy turystów, którzy i jesienią, i latem, i zimą zapuszczają się w ostępy Bieszczad. Sanok bowiem w ostatnich latach stał się dużą bazą turystyczną i trzeba powiedzieć, że miastu jest z tym do twarzy. Wprawdzie jeszcze sanoczanie, w przeciwieństwie np. do zakopiańskich górali, nie bardzo przyzwyczaili się do hałaśliwego, natrętnego tłumu wycieczkowiczów i wczasowiczów, ale niejakie symptomy zmiany zainteresowań ekonomicznych i towarzyskich da się tutaj zauważyć. Np. restauracje są bez porównania czystsze niż przed laty, nie mówiąc o jakości potraw.

Będąc w Warszawie zawsze szukam śladów powstania, odwiedzam Starówkę, słynną z Kilińskiego, Dekerta i młodziutkich, bohaterskich powstańców. W Krakowie pędzę na Wawel i odwiedzam kopiec Wandy, bo przecież to i Krak, i królowie, i prehistoria nasza. A w Sanoku nieodparcie dwie myśli mnie prześladowały: to tutaj się narodził sławny profesor Grzegorz, to tutaj Władysław Jagiełło brał ślub z Elżbietą Pilecką. Jak się to wszystko działo? Jak wyglądało życie dziecka i młodzieńca Grzegorza, który z tego odległego miasta trafił na stolec arcybiskupi, do grona profesury, jak wyglądał orszak weselny i co skłoniło pierwszego polskiego Jagiellona do zawarcia ślubu właśnie tutaj? A już zupełny podziw wywołuje w nas świadomość, że tutaj właśnie, po śmierci Zygmunta Starego, zamieszkała królowa Bona.

Widocznie był ten gród niezwykłym centrum jakimś, gdzie działy się sprawy światowe i z pewnością nie można by nazwać ówczesnego Sanoka prowincją. Ta osada założona przed wiekami na szlaku handlowym wiodącym przez przełęcz Łupkowską na Węgry musiała mieć w sobie jakąś siłę przyciągającą. Z pewnością bogactwo tamtejszego mieszczaństwa. Dzisiaj Sanok musi po raz drugi w swej historii skorzystać ze swej autentycznej atrakcyjności. Przed laty Kazimierz Jagiellończyk specjalnym rozporządzeniem przymuszał kupców, by wykładali swe towary na sanockim rynku, przywilej kazimierzowski z 1366 r. lokował tutaj doroczny jarmark, trwający tydzień. A teraz bez rozporządzeń — tłumy turystów. Zatem do wartości ekonomicznej zwanej dochodem narodowym doliczyć trzeba tutaj również dochód ludności płynący z tzw. renty turystycznej. No tak, gospodarczość współczesna wymaga rozeznania w potrzebach turystów. Oni są obok potężnego zakładu, jakim jest dzisiaj „Autosan", siłą napędową wielu zmian.

Po co tu przyjeżdżamy? Bo tu ładnie. Bo tutaj z góry, dawniej Stróżnią zwanej, widać przepięknie położone miasto. Stąd, ze wzgórza, na którym stoi resztka królewskiego zamku, roztacza się piękny widok na Góry Słonne...

W kilku komnatkach dawnej rezydencji królewskiej rozlokowało się dzisiaj muzeum. Jego uprzejmy kierownik p. Stefan Stefański puścił mnie samopas dla zwiedzenia tych ciekawych pomieszczeń. Nie muszę chyba rozsławiać piękna zabytkowych rzeźb ludowych, starych ikonostasów, dawnych cerkiewek; jest wśród eksponatów sanockiego muzeum kilka wzruszających zdjęć, przedstawiających dawnych radnych miejskich, są dokumenty magistrackie, jakieś pożółkłe broszurki. Są wreszcie obrazy współczesne paryskiego Prohaski, który z tym miastem jest związany latami młodzieńczych studiów, są obrazy Rubczaka, są wreszcie zbiory sztuki ludowej dolinian i Łemków. Gdy wyszliśmy przed muzeum, bo p. Stefański oczekiwał mego powrotu przy kantorze z księgą pamiątkową — począłem zachwycać się przepięknym widokiem Sanu i gór. Zauważyłem, że mój rozmówca przytakuje mi gorąco.

— I pan tak zawsze, codziennie się tym zachwyca? — spytałem z niedowierzaniem.

— Tak, codziennie. Bo, widzi pan, Sanok można pokochać. Nie tylko dla jego pięknej przeszłości, ale również i dlatego, że tyle tutaj jeszcze można i trzeba zrobić. A przede wszystkim trzeba rozszerzyć stan posiadania muzeum, natchnąć teraźniejszością we współczesnych poczynaniach oświatowych — bogatą przeszłością tej ziemi.

Z pewnością dyrektor Stefański ma rację — myślę patrząc na piękny kościół Franciszkanów, obrazy w muzeum sanockim, schody koło Nepomuka, spadziste ulice, domki rybackie nad Sanem.

Miasto to przed laty stało się maleńkim centrum przemysłowym. W 1832 r. na Posadzie Olchowskiej w tym grodzie założono skromny warsztat kotlarski. W 1897 r. jest to już niemała fabryka. Dzisiaj tłum robotników idących spiesznym krokiem ku stacji, jadących na motocyklach i rowerach, uświadamia nam, kto powinien w głównej mierze skorzystać z tych autentycznych dóbr kulturalnych, jakie historia pozostawiła Sanokowi w spuściźnie.

Zresztą proszę to sprawdzić osobiście: w Sanoku zostawia się część swego serca.

Z teki graficznej wydanej przez WAG — Kraków

Tadeusz Turkowski — Klasztor w Sanoku

Snobizm bez postępu

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

SŁONECZNA sława wielkich pisarzy ma tę fatalną właściwość, że występują na niej od czasu do czasu plamki — tym częściej, im bardziej pisarz klasycznieje. Do powstawania owych plamek przyczyniają się zazwyczaj gorliwi wielbiciele-totaliści, którzy wywlekają z domowego archiwum twórcy arcydzieł wszystko, co Jego, nie wyłączając najsłabszych, porzuconych wprawek. A gdy już nowa wysepka została odkryta, zaludnia ją żądny sensacji zastęp interpretatorów i komentatorów, inscenizatorów i reżyserów, edytorów i ilustratorów, usiłując uprawiać glebę kamienistą czy grząską — na użytek społeczeństwa. W ten oto sposób wielki autor niefortunnego drobiazgu podpada w jakimś szczególiku swej monumentalnej twórczości pod krytykę, że się tak wyrażę, dyminutywną, pomniejszającą, moment w każdym wypadku żałosny.

Taką właśnie wątpliwą przysługę wyświadcza się Hemingwayowi rozpowszechniając jedyny jego utwór sceniczny „Piątą kolumnę", który Teatr im. J. Osterwy zaprezentował niedawno lubelskiej publiczności.

Hemingway napisał tę rzecz podczas wojny domowej w Hiszpanii, jesienią i na początku zimy 1937 roku, w bombardowanym Madrycie, gdzie przebywał w charakterze korespondenta wojennego działając zarazem jako szczery przyjaciel ludu. Miał wtedy czterdziesty rok, a w dorobku szereg słynnych już książek. Jego znakomite „Pożegnanie z bronią" ukazało się osiem lat przedtem, 80 tys. egzemplarzy rozchwytano w niebywale krótkim czasie. Lecz wysyłając „Piątą kolumnę" do kraju Hemingway pisze skromnie w dołączonym do niej komentarzu: „Jest to jedynie sztuka o kontrwywiadzie w Madrycie. Jej braki wynikają z tego, że została napisana w czasie wojny... Ale jeżeli to, że została napisana pod ogniem, tłumaczy jej usterki, może też i dodaje jej pewnego życia. Wy, którzy ją przeczytacie, będziecie mieli na to lepszy pogląd ode mnie".

W kraju przeczytali i zakwalifikowali do druku, wszakże wyszła spod pióra bardzo już wziętego pisarza. Ukazała się w 1938 r. na czele tomu pt. „The Fifth Column and First Forty-Nine Stories", w skład którego wchodzi również takie wspaniałe opowiadanie, jak „Śniegi Kilimandżaro". W przeciwieństwie do autora, spece teatralni nie mieli jednak wątpliwości, że sztuka jest słaba. Upłynęły aż dwa lata (przy amerykańskim tempie!), zanim wystawiono ją na scenie, w adaptacji Beniamina Glazera.

Nie badałam dalszych losów „Piątej kolumny" na gruncie USA. Hemingway - powieściopisarz i nowelista stworzył wkrótce „Komu bije dzwon", potem „Starego człowieka i morze" oraz inne dzieła, które przesłoniły porażkę Hemingwaya - dramaturga. Dość, że u nas w Polsce nic o tej „Piątej kolumnie" nie było słychać... Dopóki nie przyswoił jej polszczyźnie ambitny tłumacz, Bronisław Zieliński, entuzjasta Hemingwaya. Wtedy od razu zrobił się koło „Piątej kolumny" ruch („Słuchajcie — sztuka o wojnie domowej w Hiszpanii!"). Najpierw dopadł egzemplarza teatr olsztyński i na ubiegłorocznym festiwalu w Toruniu uśpił „Piątą kolumną" całą widownię składającą się z co znakomitszych recenzentów polskich. Nastepnie wziął sztukę na warsztat Teatr Osterwy, nie bez poczucia frustracji, bo ominęła go prapremiera. A oto parę tygodni temu „Współczesność" przynosi już „ciekawostkę": „...na scenie teatru w Szczecinie wystawiona została jedyna sztuka dramatyczna E. Hemingwaya „Piąta kolumna". Utwór ten nie należy do najbardziej udanych w bogatym dorobku pisarza i już za jego życia traktowany był po macoszemu, nieco wstydliwie przez autora znakomitych powieści. Tym niemniej (!) umożliwia on wielbicielom powieści „Komu bije dzwon" poznać (!) nieco szerzej i od nieoczekiwanej strony warsztat pisarski Hemingwaya..." Tyle „Współczesność".

Dobrzy ludzie, gdzież tu zdrowy sens? „Traktowany... nieco wstydliwie" i — niemniej przeto „umożliwia..." To wy myślicie, że do teatrów uczęszczają sami historycy literatury, badacze „warsztatu"! Wydaje mi się, iż w tym miejscu potwierdza się najzupełniej słuszność mojej wstępnej uwagi o integralnych wielbicielach.

Tak czy owak zapowiada się nowa epidemia teatralna i wobec przytoczonych faktów powstaje pytanie: jakie bodźce dopingują dyrekcje polskich teatrów do wystawiania tej rzeczy źle kochanej przez samego autora? Nadzieja, że temat rewolucji podany w aureoli sławy Hemingwaya stanie się superatrakcyjny? Niestety stawka na snobizm jest przegrana. W Lublinie widz premierowy pozostał obojętny, z chwilą zaś, gdy słówko „nuda" obiegło miasto, widzowie potencjalni zaczęli po prostu omijać teatr. A przecie można było dać w robotę młodemu, zdolnemu reżyserowi raczej jedną ze świetnych sztuk radzieckich o rewolucji, jak np. „Lubow Jarowaja". Wszak nie chodziło specjalnie o rewolucję hiszpańską, skoro według kanonów „awangardowych" barwy lokalne są na ogół niwelowane. W każdym bądź razie na taką pozycję trzeba przeznaczyć w planie repertuarowym jedno z centralnych miejsc, a zatem zabezpieczyć jej właściwą obsadę i oprawę sceniczną.

Powiedzmy otwarcie — ładunek ideowy „Piątej kolumny" jest całkiem nikły. Jeżeli sztuka zawiera jakiś morał — powiedział Hemingway — „to ten, że ludzie pracujący dla pewnych organizacji mają bardzo mało czasu na życie osobiste". Łatwo znaleźć w literaturze światowej setki utworów, które mówią o tej starej prawdzie znacznie ciekawiej. Bo z czegoż ostatecznie rezygnuje w „Piątej kolumnie" Filip, angażujący się w rewolucję hiszpańską „do pewnego stopnia", jak wyraził się Andrzej Braun tak oto określając postawę samego pisarza: „Hemingway i jego bohater nigdy nie stanęli wobec sytuacji bez wyboru, tocząca się walka nie jest wyrazem ich losu osobistego..." Nie znajdują się oni „w położeniu tych, którzy muszą, ponieważ w owych zmaganiach ważą się sprawy ich egzystencji, ich być albo nie być"*. Powtarzam pytanie: czego wyrzeka się Filip? Zaledwie małżeństwa z panną Dorotą Bridges, którą dość dosadnie scharakteryzował w rozmowie z towarzyszem od serca Maksem. Doprawdy niewielkie wyrzeczenie.

Ale jest w „Piątej kolumnie" coś innego, czego nie eksponuje komentarz odautorski, a co natomiast uwydatnia się w liście Hemingwaya napisanym wkrótce po powrocie z Hiszpanii. Czytamy tam taki oto passus: „W opowiadaniach o wojnie starałem się pokazać wszystkie jej strony. Uczciwie i rozważnie badam ją z różnych punktów widzenia. Dlatego nie sądźcie, że jakieś z opowiadań oddaje w pełni moje poglądy. To wszystko jest bardziej złożone"**. Otóż „Piątej kolumnie" owe różne punkty widzenia, które powinny by się złożyć na jej żywy humanizm — nie wyszły na dobre. Nie zostały one tutaj ujawnione we właściwej proporcji. Hemingway pozbawił swoją sztukę romantyzmu walki ideowej, nie poskąpił jej natomiast rysów typowych dla małego realizmu wprowadzając szereg postaci i sytuacji ukazujących akcję rewolucyjną z nie najlepszej strony. Jego Filip jest najzupełniej zdegustowany przykrymi sposobami, do jakich musi się niekiedy uciekać będąc na służbie *Seguridad*, która pracuje przecie dla zwycięstwa rewolucji. Nie sądzę, by demonstrowanie pewnych drastycznych praktyk śledztwa należało akurat uważać za budujące.

Akcja „Piątej kolumny" jest mało spoista. Skonstruowana raczej na modłę reportażu. Postacie, poza pełnym zwątpienia Filipem, są dość płaskie. Dialog też nie frapuje. Reżyserzy nieraz zapalają się do takich sztuk, ulegając złudzeniu, że ożywią je własnym duchem. Czeka ich nieuchronny zawód, jeśli nie dostaną do dyspozycji aktorów, którzy potrafią uprawiać „kreacjonizm". Ale nie można tego wymagać od zespołu młodego. Moim zdaniem, reżyser Teatru Osterwy, Bogdan Poręba, wydobył z utworu Hemingwaya wszystkie wartościowe momenty, zaostrzając lwi pazur autora, gdziekolwiek daje się dostrzec, i tuszując w miarę możności wady za pomocą koncepcji zbliżonej do ujęcia filmowego. Trudność jednak polegała na tym, że sztuka ta jako realistyczna jest półfabrykatem, a skądinąd jej dosłowność nie pozwala na ustylizowanie metaforyczne. Prawdę mówiąc, reżyser włożył tu w pracę dużo dobrych chęci godnych lepszej sprawy. „Szachy" i „Partita" Grochowiaka, nad którymi p. Poręba pracuje obecnie, dadzą mu zapewne większą satysfakcję. Pragnę jednak w końcu dodać, iż lubelskiej inscenizacji „Piątej kolumny" nie brak szczęśliwych pomysłów. Do najbardziej udanych realizacji zaliczyłabym Prolog-komentarz Hemingwaya nagrany na taśmę i podawany przez głośnik z głębi odsłoniętej sceny. Mimo prostoty, rzeczowości tekstu, brzmi on sugestywnie niczym głos z zaświatów.

Niestety nie potrafię powiedzieć dobrego słowa o gąszczu prętów i innego żelastwa, którymi zapełniła przestrzeń sceniczną Liliana Jankowska. Zresztą utalentowanemu scenografowi, tworzącemu w naszym teatrze raz po raz celne oprawy sceniczne, można chyba bez ogródek postawić zarzut, że ostatnia dekoracja raczej rozbija akcję niż ją syntetyzuje. A zarazem przyczynia się do zamazania odrębności poszczególnych scen (zwłaszcza sceny na punkcie obserwacyjnym w „zbombardowanym domu").

O aktorach trudno mówić w warunkach, gdy kostium i charakteryzacja muszą nadrobić brak mocniejszego tekstu. Ich wspólna praca, w połączeniu z inwencją reżysera, złożyła się w sumie na spektakl kulturalny. Więcej nie dało się zrobić. Niektórzy grali ofiarnie po dwie role (Andrzej Gazdeczka), a nawet po trzy (Witold Lisowski). Starannie narysowali swoje postacie: Zdzisław Winiarczyk (Żołnierz z Brygady Międzynarodowej), Stanisław Stojko (niemiecki komunista Maks), Jadwiga Janczewska (pokojówka Petra). Wprawdzie generał faszystowski (Andrzej Chmielarczyk) nie bardzo był rozpoznawalny w ciemnościach, a Maciej Polaski (dziennikarz Preston), wydaje mi się, nie wykorzystał szansy ostrzejszego i zabawniejszego konfliktu z Filipem, za to Stanisław Olejarnik zrobił z Antonia, rewolucjonisty na wysokim szczeblu *Seguridad*, postać bardzo interesującą. Potężna figura Dyrektora hotelu została niewątpliwie wypieszczona przez Włodzimierza Wiszniewskiego, choć może przydałoby się tu, moim zdaniem, troche więcej niuansów.

Nieco zawiodła mnie, przyznaje się, sylwetka Doroty Bridges (Elżbieta Święcicka), ustawiona całkowicie na banalność postaci. Banał zamierzony w sztuce nie implikuje banału w wykonaniu.

Miło mi zakończyć omówienie ukłonem w stronę Marii Szczechówny (żywiołowej, egzotycznej Anity, „ładacznicy z zasadami", której postać w paradoksalny sposób staje się chyba najbardziej pozytywnym akcentem „Piątej kolumny") — i wręcz superlatywami pod adresem Adama Cieślaka. Ten aktor, nowy na naszej scenie, zdobył prawdą postaci Filipa, korespondenta wojennego i nękanego skrupułami sympatyka rewolucji (po trosze sobowtóra Hemingwaya), duży kredyt u lubelskich widzów.

Ceterum censeo... iż repertuar Teatru im. J. Osterwy wymaga większego przemyślenia. Zwłaszcza w obliczu 20-lecia Polski Ludowej i w Roku Ziemi Lubelskiej nie można bazować na tym, że ktoś „podobno" pisze dobrą sztukę. Zbliżamy się już do połowy lutego.

* „Polityka" r. 1961.

** Cytuję za „Życiem Warszawy" (z dn. 22.X.62), które ze swej strony korzystało z publikacji w „Woprosach Litieratury".

TEATR PO AMATORSKU

KRZYSZTOF GŁOGOWSKI

DO Zamościa przyjechałem na otwarcie Wojewódzkiej Sceny Amatorów. Z nazwą „otwarcie" kojarzą się zwykle za długie przemówienia, podniosły nastrój, nożyczki i przecięta wstęga. Mile byłem zaskoczony nie napotykając nic z owej przytłaczającej atmosfery, a zamiast tego ciekawy program dający dużo korzyści aktorom i inscenizatorom zespołów amatorskich, którzy brali udział w spotkaniu.

Otwarcie połączono z zajęciami dydaktycznymi, które można by określić jako seminarium.

Najpierw omówione zostały niektóre problemy pracy reżysera, a potem odbyły się pokazowe próby, prowadzone przez instruktorów. Dało to na pewno dużo przedstawicielom zespołów, które w Zamojskiem powstają nawet tam, gdzie nie ma elektryczności i regularnego dojazdu. Tworzą się dosłownie z niczego, prowadzi je zwykle ktoś z miejscowego nauczycielstwa. Tak jest np. we wsi Szorcówka, prawie odciętej od świata, gdzie zespół prowadzi młoda nauczycielka. Dla takich właśnie upartych ludzi, którzy dysponują jedynie zapałem, bardzo pomocne są imprezy w rodzaju owego seminarium i stałej sceny, czynnej raz na miesiąc: na niej będą mogli pokazać wyniki swojej pracy. Dla nich Związek Teatrów Amatorskich, ożywiwszy od dwóch lat swoją działalność, zatrudnia w swoich terenowych oddziałach instruktorów i wydaje miesięcznik „Teatr Ludowy".

U wszystkich występuje potrzeba tworzenia sztuki. Dzięki temu zespoły amatorskie istnieją zarówno w dużych miastach, gdzie działają teatry zawodowe, jak i tam, gdzie „diabeł mówi dobranoc". Na prowincji dochodzą jeszcze inne czynniki: walka z nudą, pragnienie stworzenia własnego życia kulturalnego.

Ruch amatorski na Zamojszczyźnie rozwija się coraz silniej. W Liceum Pedagogicznym prowadzi się trzyletni kurs teatralny, na terenie powiatu istnieje sześćdziesiąt pięć zespołów amatorskich. W samym Zamościu powstał „Teatr Młodzieżowy", przy ZHP prowadzony przez Waldemara Zakrzewskiego, jednego z organizatorów i wykładowców Seminarium, absolwenta łódzkiej szkoły teatralnej. Ciężkie były, chociaż tak niedawne, początki jego pracy. Najwięcej trudności miał z zaszczepieniem dobrego smaku artystycznego oraz wprowadzeniem wartościowego repertuaru odbiegającego od sztuk przekazanych niezdrową tradycją. Na seminarium p. Zakrzewski pokazał fragment „Smoka" Jewgienija Szwarca, a instruktor z Lublina, Wacław Rzączyński — pewien etap pracy nad songami z „Matki Courage" Brechta.

Na przeglądzie zespołów obejrzeliśmy „Antygonę" Maliszewskiego, I akt „Smoka" i fragmenty z „Wysokiej ściany" Jerzego Zawieyskiego. Prócz tego pokazano parę składanek.

Po bardzo zróżnicowanych wrażeniach z przeglądu nasuwają się uwagi o treści ogólnej. Zespoły amatorskie zbyt często powielają teatr zawodowy mierząc siły na zamiary, jak to było w wypadku zamojskiej „Antygony". Niewielka ilość sztuk z teatralnego repertuaru może być grana przez amatorów. Przeszkodami przeważnie są wymagania dużego zaplecza scenicznego, licznej obsady, potrzeba aktorów o charakterystycznym *emploi*. Bardzo trudna pod tym względem jest sytuacja zespołów młodzieżowych. W wypadku obejrzanej „Antygony" młodzież w wieku 14—17 lat grała wszystkie role od Antygony, Ismeny i Hajmona do Kreona i Starego Wiarusa. Jedyna droga do wypracowania przez teatr amatorski swoistych i oryginalnych form, które byłyby pewnym novum, a nie kopiowaniem konwencji przystosowanych do innych warunków, prowadzi przez rozmaitego rodzaju montaże. Jak szerokie otwierają się tu możliwości — zasygnalizowały programy Smożewskiego napisane dla kieleckiego teatrzyku aktorów i dziennikarzy. Oczywiście nie namawiam do kopiowania, zwracam jedynie uwagę na rozmaitość tworzywa, mogącego służyć do celów montażu.

Montaże można by publikować w większej ilości w „Teatrze Ludowym", ograniczając tym samym drukowanie kiepskich sztuk.

Powyższe uwagi wcale nie starają się wnieść sugestii, że w teatrze amatorskim naszego województwa dzieje się źle. Zawierają jedynie pewne propozycje dla teatralnych zespołów niezawodowych odnośnie repertuaru i sposobu traktowania tego rodzaju sztuki. Źle się nie dzieje, bo na terenie województwa obserwujemy wyraźny rozwój teatru amatorskiego, co świadczy o awansie regionu i zwiększonych potrzebach konsumpcji dóbr kulturalnych.

PRZYJAŹŃ Z TEATREM

STANISŁAW KOZŁOWSKI

SPOŁECZNY ruch przyjaciół teatru rozwija się głównie w silnych ośrodkach kulturalnych, do przodujących pod tym względem zaliczyć należy województwa: szczecińskie, krakowskie, poznańskie i warszawskie. Natomiast w lubelskim ta forma społecznej inicjatywy kulturalnej, jak dotąd się nie przyjęła. Poza Towarzystwem Miłośników Teatru w Chełmie i Zamościu oraz Studium Kultury Teatralnej w Lublinie, nie istnieją w naszym województwie koła, kluby i towarzystwa miłośników teatru.

A tymczasem jest niewątpliwie wiele aktywnych środowisk, gdzie powinna dotrzeć jak najszybciej idea organizowania kół miłośników teatru. Są kluby-kawiarnie, biblioteki, domy kultury, szkoły, są ludzie odczuwający potrzebę częstszych kontaktów ze sztuką, pragnący rozwijać swoje zainteresowania. Jest odpowiednia ku temu atmosfera, po XIII Plenum KC PZPR. Należy więc sądzić, że ilość kół przyjaciół teatru będzie stale wzrastać — szczególnie w powiatach mniej aktywnych pod tym względem. Koła przyjaciół teatru mogą działać w oparciu o już istniejące placówki kulturalne, bądź organizacje społeczne na wsi (np. ZMW). W działalności swej mogą kierować się własnym, wewnętrznym regulaminem, lub też jako koła zarejestrowane w Związku Teatrów Amatorskich, względnie sekcje ogólnych towarzystw kulturalnych. Zadaniem kół przyjaciół teatru jest popularyzowanie sztuki teatralnej m. in. poprzez organizowanie masowych imprez mających na celu upowszechnienie kultury teatralnej, organizowanie prelekcji dotyczących historii teatru, wystawianych sztuk i ich autorów, reżyserii, scenografii itp., organizowanie dyskusji nad sztukami obejrzanymi w teatrze lub dzięki telewizji, organizowanie spotkań z ludźmi teatru — w siedzibie teatru lub w czasie objazdu, zaznajamianie młodzieży i starszego społeczeństwa ze sztuką, epoką, w której toczy się akcja, głównymi problemami podjętymi przez autora itp., zapoznawanie uczestników z tekstami nowo przygotowywanych pozycji repertuarowych, organizowanie zbiorowych wycieczek do teatru i dyskusji po spektaklu. Do najważniejszych zadań kół należy pozyskiwanie dla teatru widza wiejskiego, prowadzenie systematycznej pracy wychowawczej wśród członków kół i organizowanie życia towarzyskiego.

Z poczynionych obserwacji wynika, że miłośnicy teatru występują w różnych formach organizacyjnych. Nie tylko w kołach, klubach i towarzystwach. Bardzo ciekawą działalność uprawia Studium Kultury Teatralnej w Lublinie liczące 188 członków — przyjaciół teatru, głównie studentów, którzy przygotowują się do działalności społeczno-kulturalnej w środowisku, po opuszczeniu uczelni. Nie wszyscy członkowie są oczywiście czynni. Ale z posiadanych materiałów wynika, że 75 proc. ogółu członków aktywnie uczestniczy w pracach studium.

Uczestnicy kół, klubów, towarzystw, studium — rekrutują się z różnych środowisk, głównie spośród inteligencji. Młodzież szkolna, chłopi i robotnicy, stanowią niestety niewielki odsetek. Stan ten musi niepokoić. Towarzystwa winny rozpocząć intensywną pracę, szczególnie wśród młodzieży, głównie ze szkół średnich ogólnokształcących, zawodowych, a także wśród młodzieży pracującej. Zainteresowanie młodzieży teatrem i skupienie jej wokół danej sceny na pewno nie jest bez znaczenia dla społecznej roli teatru i skuteczności jego oddziaływania. Prowadzenie wspólnej akcji teatru i organizacji społecznych przyczynić się może do zwiększenia udziału tej grupy społecznej na widowniach teatralnych.

Nasuwa się pytanie, kto ma się tym zająć?, kto ma temu niezwykle pożytecznemu ruchowi kulturotwórczemu pomóc i patronować? Myślę, że w pierwszym rzędzie zainteresowane bezpośrednio tym lubelskie teatry, następnie Związek Teatrów Amatorskich, Związki Zawodowe, Związek Młodzieży Wiejskiej, Kuratorium, Zrzeszenie Studentów Polskich oraz wydziały — referaty kultury rad narodowych i im podległe placówki kulturalne.

Organizacje i instytucje te współdziałałyby w zakresie popularyzacji teatru w mieście i na wsi, uwzględniałyby problematykę teatrów w swoich planach pracy, zapewniałyby w miarę możliwości własnych pomoc materialną ruchowi teatralnemu, organizowałyby doroczne wojewódzkie spotkania dla wymiany doświadczeń, ustalania kierunków działania itp.

Przy skoordynowaniu wysiłków zawodowych placówek teatralnych, Związku Teatrów Amatorskich, Związków Zawodowych, organizacji młodzieżowych i studenckich, prasy oraz władz oświatowych i kulturalnych, będzie można w znacznie większym niż dotychczas stopniu popularyzować teatr w mieście i na wsi, pozyskać dla Melpomeny nowe rzesze jej wielbicieli realizując hasło: „Każdy członek koła przyjaciół teatru — jest na każdym pierwszym przedstawieniu granej w miejscu jego zamieszkania sztuki teatralnej".

Od tej działalności społecznej w dużej mierze zależy, by teatr był rzeczywiście dla wszystkich.

GAWĘDY O FILMIE POLSKIM

Nowe gatunki i stare nieporozumienia

JAK ten czas leci! Był sobie rok 1963 i już go nie ma... A co nam niesie Nowy, 1964? Życzymy gorąco, by przyniósł poprawę jakości naszej rodzimej sztuki filmowej. Albowiem rok miniony nie zapisał się korzystnie w powojennych jej annalach. Owszem — wprowadzono bodaj na ekrany tyle filmów, ile zapowiadano, lecz ilość nie raczyła przejść w jakość. Ktoś złośliwy zauważył nawet, że „film polski nigdy nie bywa aż tak zły, aby któryś z następnych nie mógł być jeszcze gorszy".

I to niezależnie od reprezentowanego przez siebie „genru", czyli gatunku (pozostanę przy zagranicznym: „genre"). Nie wiem, kto właściwie opatruje nasze filmy lapidarnymi charakterystykami genrowymi: dramat psychologiczny, komedia kryminalna, dramat obyczajowy, komedia liryczna itp. Etykietka, jak to etykietka: nie zawsze jest dopasowana. Stąd też, w szczerej trosce o wzbogacenie przynajmniej terminologii, wprowadzam tutaj (bardzo nieśmiało!) parę nowych wzorów na etykiety, traktując je jak najbardziej dyskusyjnie.

OD KONWERSACJI DO MISTYFIKACJI

Więc np. film „NAPRAWDĘ WCZORAJ" — to genre konwersacyjny (nie mylić z dialogowym!). W pseudo-intelektualnej gadaninie toną z głową wszyscy: aktorzy i widzowie.

Z kolei „MANSARDA" — film kalkomanijny. Kolorowy wzorek pasuje, jak ulał, do starego tematu: artysta — cacy, społeczeństwo — be. Znacie? Już było, i to nie raz? No to posłuchajcie, jak mawiał dziadzio Jowialski.

Odmienny genre — księżycowy — reprezentuje „MILCZENIE". Węzłowy „konflikt" wzięty żywcem „z księżyca": ślepe dziecko i zdziecinniały starzec postawieni naprzeciwko siebie jako adwersarze. Jak w zabawie naszych miłusińskich: „księżycowe miasto — księżycowi ludzie".

Jest także genre perypatetyczny. To film „WEEKENDY". Pamiętacie spacery filozofów -perypatetyków ze szkoły Arystotelesa? Tutaj jednak chodzi o sam mechanizm chodzenia, nie o jakieś tam dyrdymałki! Z dwóch nowel, z jakich składa się film, w pierwszej gania i gania dziewczyna, w drugiej — biega i biega chłopiec, męcząc swym zachowaniem tych na ekranie i tych na sali kinowej.

„KRYPTONIM NEKTAR" — ani chybi genre smarkulowy. Oto jeden jeszcze potomek echt-przedwojennej komedyjki. Ministerialna nagroda dla „Smarkuli", prasowe pochlebstwa zaczynają wydawać owoce.

Wreszcie — genre mistyfikacyjny. Zaliczam doń film „ZACNE GRZECHY", zestaw „żywych obrazków", bardzo sympatycznie oleodrukowych, tyle że w tej anegdotycznej historii nie ma ani anegdoty, ani historii.

Więc co film — to inny genre. Wybrane dziś do przeglądu (o innych, śmiem twierdzić bardziej udanych, opowiem niezadługo) mają sporo cech wspólnych. Nieco — dobrych, znacznie więcej złych.

Dobra na ogół, czasami nawet bardzo, jest fotografia. Tam i sam błysnie ciekawa, niekiedy wręcz świetna, robota aktora. Interesująca bywa muzyka. Zdarzają się szczęśliwe pomysły scenariuszowe cóż, kiedy nie znajdują właściwego swym zaletom ucieleśnienia. Siła złego na jednego: trzeba mieć coś do powiedzenia i umieć to powiedzieć.

SZELESZCZĄCE DEBIUTY

Zwraca tu uwagę znaczna ilość debiutów: dwa reżyserskie i aż cztery, jeśli chodzi o scenarzystów. Jeszcze bardziej zastanawia fakt, że na siedem tytułów (liczę oddzielnie każdą z dwóch nowel „Weekendów") autorami wszystkich siedmiu scenariuszy są zawodowi pisarze. Poza tym trzy scenariusze osnuto na utworach literackich.

Tak więc raz jeszcze ruszyli w szranki filmowe nasi literaci. Lecz — biada nam! — rycerze wystąpili nie strojnie i szumnie, ale jakoś skromnie, dyskretnie, z tłumikiem, jak się to mówi — kameralnie. I słabo coś byli uzbrojeni. Kopie rycerskie miały ostrza „na niby". Tarcze i miecze były z tektury. Miast szczęku oręża — nudnie zaszeleścił papier. Jeszcze tak niedawno zrzędziliśmy na wszystkoizm. Obecnie przyszedł czas pustkoizmu. Zamiast filmu o wszystkim — film o niczym.

CMENTARZ W HERBIE

Ulubionym terenem akcji w polskim filmie bywa polskie miasteczko. Wiadomo — większe miasto i większe kłopoty twórcze, a już ze wsią — szkoda gadać! Natomiast recepta na miasteczko niezawodna, aż żenująco prosta: weź kilkanaście pokrzywionych domków przy błotnistej ulicy, kilkadziesiąt kałuż na rynku, dodaj sennie się ruszające dwa autobusy, z których jeden przyjeżdża nie wiadomo skąd, a drugi odjeżdża nie wiadomo dokąd, wymieszaj starannie z autochtonami, czyli kilkunastoma chuliganami pod drzewkiem i kilkoma pijakami pod knajpą. Dodaj do smaku: kelnerkę-puszczalską, niedopieszczoną „panienkę z okienka" na poczcie, „recepcjonistkę" w typie bajzel-mamy w miejscowym hoteliku.

Pogoda? Naturalnie deszczowa! Miejsce dramatów i przeżywań? Oczywiście cmentarz! I jeszcze, absolutnie koniecznie, dorzuć herolda odautorskiej konferansjerki, domorosłego sensata z gatunku — „Ho, ho, zna się życie, panie mociumdzie'n!". Może nim być do wyboru i koloru: leśnik, przewoźnik, dorożkarz, pracujący inteligent niskiego szczebla społecznego. Niby różni, a podobni jak syjamskie bliźniaki...

Małomiasteczkowa młodzież obojga płci jest opętana seksem. Nieznajome, tajemnicze kobiety z dalekich stolic są szczególnie narażone na aluzje i zgoła bezwstydne propozycje, a gdy już ma się na ohydny gwałt, to jego sceneria jest znowu cmentarz, żeby było nie tyle straszniej, ile — perwersyjniej.

Po co to wszystko? Mamy często do czynienia z dysponentami zasobnego, rozbudowanego warsztatu twórczego. Czyżby rzecz nie w umiejętnościach, tylko w braku odwagi?

O METODZIE I O SKUTKACH

Dziwne to metody, panowie realizatorzy! Pokazujecie nasze miasteczka jednostronnie, a więc i nieprawdziwie, plotkarsko-tradycyjnie, a nie dialektycznie. Naturalnie — i tak bywa. Istotnie — i tacy ludzie tam się zdarzają. Ale czy to jest norma? Kto pamięta ową sekwencję w jednym z ostatnich numerów Polskiej Kroniki Filmowej, poświęconą takiemu właśnie małemu miastu, Olecku? W sposób nieco żartobliwy, nawet może satyryczny, pokazano nam wartościowych ludzi, którzy i pracują, i myślą, i działają społecznie, i potrafią się bawić kulturalnie, jednym słowem: żyć jak ludzie, a nie wydumani bohaterzy filmu o polskim miasteczku.

I to żyć w tak trudnych nieraz warunkach bytowych, o jakich nie mają zielonego pojęcia twórcy filmowi.

Staję zdecydowanie w obronie postponowanych miasteczek i ich mieszkańców. Więcej myśli i serca, panowie scenarzyści i reżyserzy filmowi! Pamiętajcie, że nie jest nigdy cennym zabiegiem wychowawczym... kopnięcie. Pamiętajcie, że to wysmarowany przez was sadzą obraz nasuwa kategoryczny imperatyw: „Pójdź, bracie, napij się wódki!".

Jerzy Kuryluk

TELEGRAMY

WALDEMAR BABINICZ

Z TRUDEM odpinam narty, niechętnie spoglądam za umykających towarzyszy wyprawy i klnę w żywy kamień tradycje, które nakazują mi przerwać piękny zjazd, by wysłać spóźniony telegram gratulacyjny z noworocznymi życzeniami.

Przed godziną spotkałem w schronisku Iksa, który odpowiedział na mój uprzejmy ukłon ledwie dostrzegalnym, sztywnym kiwnięciem. Co u licha? Przecież zawsze wymienialiśmy serdeczne, przyjazne okrzyki: „Się masz, stary byku". A tu nagle... Ach, prawda. Wysłałem kartkę jego sąsiadowi, o nim zapomnjałem na śmierć. Więc teraz „spóźnione, ale tym gorętsze" tu w tym przycupniętym na zboczu zasypanym śniegiem, mikroskopijnym urzędzie pocztowym, raczej agencji. Wewnątrz tłok. Zgrzytam zębami, patrzę tęsknie przez zapoconą szybę, oceniam odległość od okienka i myślę z rezygnacją o jeszcze jednym straconym dniu. Ani gazety, nic pod ręką. Jakże tu sobie skrócić czekanie? Próbuję odczytywać teksty depesz. Nieprzyzwoicie, rozumie się, zaglądać do cudzych blankietów? A pfe. Nic ciekawego. Inni też posyłają spóźnione i serdeczne, gorące i przyjazne, braterskie i ojcowskie, a nawet z milionami całusów i błaganiem o spotkanie, zaproszeniem do tańca na pierwszym balu karnawałowym. Takie tam publiczne tajemnice. Czytam tekst i usiłuję, nie podnosząc głowy, odgadnąć wiek i rysy nadawcy i adresata. Niezła zabawa. Trafiam raz w płot, drugi w niebo. Osoba wysyłająca do adresata milion całusów ma na oko grubo ponad czterdziestkę. Może to do syna? A jakże. Dalszy ciąg nie budzi żadnych wątpliwości. Wiem do kogo wysyła się takie postillons d'amour. Osoba przychwytuje mój uśmieszek, posyła unicestwiające spojrzenie, bodaj czy nie wysuwa koniuszka języka i demonstracyjnie potrząsa blankietem. Rozumiem. „Pękaj sobie z zazdrości, a ja, widzisz, jeszcze wcale, wcale i bynajmniej nie rezygnuje z życia i jego rozkoszy". Wydymam wargi. Też. Przenoszę obserwacje w innym kierunku. A to co? Sylabizuję ponownie. Szyfr, jak mi narty mile: szyfr. Gdzieżby ktoś wysyłał poważnie taki telegram: „Misiowi koniecznie syrop o dziewiętnastej". Ledwie zaczynam układać dramat dla „Kobry", ledwie zarysowują mi się kontury trucicielki, która właśnie w nieznanej miejscowości podgórskiej uwiła sobie gniazdko, z którego płyną tajemnicze rozkazy do członków bandy rozsianej po kraju, ledwie, powiadam, zarysował mi się szkic ociekającego krwią dramatu, nowa niespodzianka. Osoba wysyłająca zaszyfrowany telegram przerzuca się jakby nigdy nic obojętnymi słówkami z inną niewiastą w pewnym wieku. Tamta też nadaje depeszkę, jeszcze bardziej tajemniczą. „Zamknąć laboratorium". Tu już nie mam żadnych wątpliwości. Że też inni nie zwrócą na takie coś uwagi. Chyba ta niemrawa urzędniczka za okienkiem jednak pójdzie po rozum do zaondulowanej główki. Czekam niecierpliwie. Prędzej, prędzej. Układam pośpiesznie plan działania. Do drzwi wyjściowych cztery metry. Zresztą schody są oblodzone, narty też porzuciłem byle jak. Nie zdążą uciec. A może lepiej podnieść alarm już teraz? Czekam. Do diabła narty, do diabła wszystkie zjazdy. Nie czas żałować nart, gdy chodzi o życie. Urzędniczka, nie patrząc, przyjmuje blankiet, liczy słowa, pisze pokwitowanie. Nic, nawet w „Kobrze" nie spotyka się podobnych. Cóż za niezdara, cóż za brak inteligencji. To samo robi z następną. Rozumie się: w takiej zakazanej dziurze, gdzie życie toczy się bogobojnie, gdzie wszystko jest uładzone i grzeczne... — Muszę na chwilę wyjść — mówię półgłosem do ślicznej panienki, która stoi przede mną. Oblewa się krwistym rumieńcem i kiwa ze zrozumieniem główką. Wypadam jak szalony. Są, jeszcze sobie marudzą, bodaj czy nie wydziwiają nad moimi nartami.

— Za pozwoleniem.

Podnoszą spokojne, nieco jakby załzawione oczy Ehe, mnie na takie oczy nie nabierzecie. Znam wszystkie triki, znam was lepiej od wszystkich detektywów wychowanych na lekturze Holmesa. Ileż to „Kobr" obejrzałem w swoim życiu? Dwie setki? Więcej. Hm. Jednak nie potrafię jakoś sklecić tego pierwszego pytania, które powinno obu podejrzanym odebrać wszelką ochotę do samoobrony. Chodzi o pierwsze, druzgocące pytanie, po którego wysłuchaniu przestępca traci władzę w nogach i podaje pokornie na wyciągniętej dłoni ośmiostrzałowy rewolwer.

— Panie, zdaje się, nadawały przed chwilą telegramy?

Nie wyszło, psiakość. Spoglądają na mnie ze zdziwieniem, przyciskając mocniej do ramion torebki.

— Owszem, nadawałyśmy. Czy może zostawiłyśmy resztę?

— Resztę, jak resztę — syczę, rozglądając się bacznie dokoła. — Tu chodzi o coś znacznie poważniejszego.

Są wyraźnie zaniepokojone, zdejmują okulary; strach maluje się w ich oczach.

— Pan może coś wie?

— Wszystko. Przeczytałem teksty obu telegramów.

Oddychają głęboko, kiwają głowami. Patrzę bystro. Wcale nie mają ochoty na skruchę. Owszem, są nieco zażenowane, ale nic ponadto.

— Więc? — pytam mniej pewnie.

— Właśnie: więc pan coś chciał w związku z naszymi depeszami? Pan może jest z naszych stron? Jakoś sobie pana nie przypominamy, chociaż mówiłyśmy właśnie, że twarz jakby znajoma. Czy pan przypadkiem nie występował w telewizji?

— Może w „Kobrze"? — podchwytuję ironicznie.

— Kto wie? Może — mówią z wahaniem. Ale chyba nie. Do Holmesa to pan podobny nie jest, a w innych rolach...

— Właśnie, że... — zaczynam zduszonym głosem.

Obie panie szybko, przerywając sobie wzajemnie:

— By myśmy się wybrały na tydzień do K. Taki krótki wypoczynek. Ta pani, moja koleżanka, pracuje w Domu Dziecka, a ja jestem nauczycielką fizyki w tym samym miasteczku. Wyjechałam, wie pan, i zostawiłam, jak to u nas w zwyczaju klucze u woźnej. I właśnie oglądaliśmy wczoraj w TV mrożący krew w żyłach film. Diabeł nie śpi. Może i na naszą szkołę ktoś może dokonać napadu! A my mamy gabinet dobrze zaopatrzony, laboratorium w pełnym znaczeniu tego słowa. Więc postanowiłyśmy wysłać telegramy. Bo właśnie Miś, wychowanek tej pani w Domu Dziecka, odkrywa się w nocy, a poza tym osoba, która tę panią zastępuje, nie lubi się leczyć i nie docenia ziółek, a ziółka dla dzieci, pan wie...

— Wiem — ucinam krótko i z niepokojem patrzę na słońce. Świeci oleistym blaskiem. Niech licho porwie telegramy gratulacyjne, niech licho porwie... Omal nie wyrwało mi się bluźnierstwo. Nie, ja nic złego nie miałem na myśli. „Kobra"? Jak najbardziej. Owszem. Zaraz, a gdzie to mój smar? Czy nie kręcą się w pobliżu złodzieje smarów do nart? Przepraszam. Jest w kieszeni.

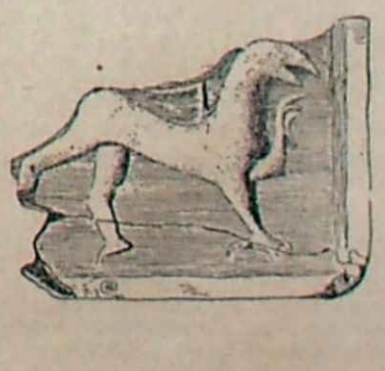

PRZEGLĄD PRASY

EKSPONOWANA rola socjologii we współczesnej nauce sprawia, że zaglądanie do fachowych czasopism socjologicznych jest nie tylko przyjemnością, ale koniecznym obowiązkiem. Socjologia, zwłaszcza jej nurt empiryczny, towarzyszy rozwojowi i przemianom człowieka i społeczeństwa we współczesnym świecie. Interesujące są dla nas zwłaszcza prace nad przemianami społeczeństwa polskiego, różnych jego grup, szczególnie środowisk robotniczych i chłopskich, jako najbardziej podległych w okresie powojennym dynamice rozmaitych przekształceń. Dwa są główne organy socjologii polskiej: „Przegląd Socjologiczny", redagowany przez środowisko łódzkie, i „Studia Socjologiczne", prowadzone przez ośrodek warszawski.

Ostatni numer **Przeglądu Socjologicznego** przynosi parę ciekawych pozycji. Czołowe miejsce zajmuje artykuł J. Chałasińskiego „Florian Znaniecki — socjolog polski i amerykański". Ten światowej sławy uczony, zmarły w 1958 r., wniósł niezwykle cenny wkład do socjologii nie tylko polskiej i amerykańskiej z osobna, ale dorobek jego liczy się w skali ogólnoludzkiej.

Szczególną doniosłość ma studium Znanieckiego opublikowane wraz z W. I. Thomasem „The Polish Peasant in Europe and America". Stało się ono źródłem inspiracji dla rozwoju socjologii wsi.

„Z niego wzięło również początek podjęte przez Znanieckiego, a następnie kontynuowane przez innych, gromadzenie materiałów autobiograficznych chłopskich i robotniczych.

Ten sam numer zawiera interesującą pracę lubelskiego socjologa, Jana Turowskiego, o problemie struktury społecznej regionu rolniczo-przemysłowego. Sprawę tę rozpatruje autor na przykładzie badań nad Zakładami Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego w Milejowie odpowiadając na pytanie, jakie pociąga to skutki dla osady i okolicy. Problem jest oczywiście szerszy i dotyczy wielu naszych osad i małych miasteczek. Zakład spełnia rolę „miastotwórczą", ponieważ z pierścienia wsi wokół niego zaczyna się tworzyć jeden duży ośrodek robotniczy. Ciekawie kształtuje się struktura społeczna i zawodowa ludności Milejowa.

„...urzędnik-rolnik, rolnik-urzędnik, robotnik-rolnik, rolnik-robotnik, technik-rolnik, czy też rolnik-technik, to powszechne zjawisko charakteryzujące strukturę zawodową ludności osady".

Lubelską pozycję przynoszą także **Studia Socjologiczne.** J. Turowski w rozprawie „Studia socjologiczno-urbanistyczne miasta" omawia dorobek badawczy grupy lubelskich socjologów nad rozwojem Świdnika. Badania te przeprowadzał zespół, któremu przewodniczył autor rozprawy, w składzie: mgr mgr Bosak, Kryczka, Kubejko i Świętoń. Przykład Świdnika jest charakterystyczny dla dość typowego w okresie powojennym procesu powstawania miasta wokół dużego zakładu przemysłowego. Miasto zaczyna się rozwijać jako zespół budynków przyzakładowych, przybiera „charakter nie miasta, ale zbioru budynków mieszkalnych, służących jako zapewnienie mieszkań rodzinom członków załogi fabrycznej". Nie wytworzył się natomiast ani nie został zaplanowany główny ośrodek miasta i jego centrum. Następnie autor charakteryzuje Świdnik jako miasto młodych, miasto jednofabryczne, a następnie zwraca uwagę na powstawanie mikroregionu i na nowe funkcje miasta. Na koniec autor podkreśla, że mimo pewnych sprzeczności w rozwoju miasta, a nawet nienormalności, dokonał się w Świdniku proces stabilizacji. Większość uczestników przeprowadzonej ankiety wypowiedziała się za pozostaniem w tym mieście, wiążą z nim swe życie i los swych dzieci.

Wyniki lubelskich socjologów nie służą tylko nauce, ale będą służyć celom praktycznym. Były zresztą przeprowadzone na zlecenie władz wojewódzkich i miały pomóc we właściwym pokierowaniu rozwojem młodego miasta, które stoi u progu „drugiej młodości".

Warto zwrócić uwagę na ostatni numer **Polskiej Sztuki Ludowej**, poświęconej sztuce ludowej województwa rzeszowskiego. M. in. R. Reinfuus pisze o sztuce tego województwa i jej badaniach oraz o rzeźbie figuralnej Łemków, natomiast F. Kotula zamieszcza pracę o „dywanach" — współczesnym malarstwie ludowym na wsi rzeszowskiej oraz o niezwykle ciekawej i unikatowej publicznej kronice historycznej z XIX w. rzeźbionej na desce za pomocą noża i dłuta. Kronika obejmuje notatki z wielu wieków historii Polski i wsi Rakszany.

T. K.

PRZEGLĄD PLASTYCZNY

OD ubiegłorocznej „Wystawy 4 Województw" plastycy lubelscy, wspomagani placówkami powołanymi do popularyzacji kultury, wyraźnie zwiększyli wysiłki w celu wytworzenia tzw. „atmosfery artystycznej", której brak daje się od kilku lat odczuwać. Ostatnia wystawa okręgowa uwidoczniła podniesienie poziomu twórczości, a początkowo sporadyczne otwarte dyskusje o plastyce zaczynają przybierać formę stałych spotkań, na których wymienia się poglądy, spiera o sprawy zasadnicze, często jednak zatrzymując się, niestety, przy pozornych problemach i subiektywnych stwierdzeniach pretendujących do metodologicznie uzasadnionych sądów.

Sytuacja nie jest jeszcze najlepsza, ale wszystko wskazuje, że najbliższe miesiące zadecydują o rzeczywistym zbliżeniu odbiorcy z twórcą, co oczywiście uzależnione będzie od postawy ostatnich i chęci zrozumienia przez pierwszych. Tymczasem na przestrzeni minionych tygodni mogliśmy odnotować kilka interesujących ekspozycji, wśród których chronologicznie pierwsza była ekspozycja „Współczesnej Grafiki i Rysunku Artystów Florenckich (Galeria Quandrante)", otwarta 18 stycznia br. w salach BWA.

Pierwszym wrażeniem nasuwającym się po pobieżnym obejrzeniu wystawy jest stwierdzenie zdecydowanej przewagi prac umownie nazywanych „abstrakcyjnymi". Ale to tylko pozory, bo znacznie trafniej można określić prace florenckich gości jako grafiki „klimatów emocjonalnych" i „form sugestywnych". Nawet rozśmieszające niektórych litografie Sergio Scatizzi — „Czarna ziemia" i „Żółta ziemia" — sprowadzone do równoległych pasów niknących w przestrzeni rozjaśnianej tonacji jednego koloru, prowadzą wcale nie zawiłą drogą do najzwyklejszego pejzażu, z tym jednak, że artyście wystarczyło zasugerowanie przestrzenności i oddalających się, rytmicznych warstw ziemi. Z całości emanuje uchwytny nastrój lirycznej poezji. „Rysunki" Vinicio Bertiego poprzez wyraźne podobieństwo dają się sprowadzić do pni drzewnych; jednak autora nie interesują te dalekie koligacje form, ale przede wszystkim dynamika walki metaforycznie ujęta w zarysy florystycznych kształtów. Ruch, dynamika — są jednym z podstawowych zagadnień rozwiązywanych przez Włochów (Marcello Guasti „Struktura 1963", Venturino Venturi „Rysunki" i in.). Można w tym widzieć objaw cechy narodowej, można też dopatrywać się rezonansu na tempo współczesnego życia. I nawet „Flaga" (temp. kazein.) Giuseppe Bongi'ego, skonstruowana z drobnych czarnych elementów przypominających chińskie pismo (wpływ Szkoły Pacyfiku?!), osadzonych na gorącym, pomarańczowo-czerwonym tle, przykuwa momentem wewnętrznego działania się.

Prac o wyraźnym podtekście ideowym, w sensie ideologii społeczno-politycznej, nie znajdziemy na wystawie włoskiej zbyt wiele. Jedynie „Ludzie i nieludzie" oraz obydwie „Algerie" Fernanda Farulli nawiązują do wspomnianej problematyki, stosując środki właściwe ekspresyjnemu symbolizmowi.

Pomimo że wystawa „Współczesnej grafiki..." nie stanowi dla nas żadnego novum, ani w sensie artystycznym, ani zakresu tematyki, warto było ją poznać, ponieważ zawierała kilka prac interesujących formalnie i stwarzających autentyczny kontakt z odbiorcą.

W dniu 1 lutego br. w salach wystawowych BWA otwarto wystawy malarstwa i rysunków Ignacego Witza oraz grafiki Mariana Nyczki.

Przeciętnie zainteresowany sztuką lublinianin skojarzy nazwisko Witz z szeregiem artykułów i recenzji drukowanych na łamach wielu pism krajowych, nie wyłączając lubelskiej „Kultury i Życia". Z publicystyką wnikliwie, lecz jak przystępnie i pięknie pisaną! Obecnie publiczność lubelska ma możliwość poznać Witza — malarza i rysownika. Pokazanym w BWA gwaszom warszawskiego artysty towarzyszy aura poetyckiej irrealności, pomimo że dość łatwo identyfikujemy formy świata obrazów z formami obiektywnej rzeczywistości. Tyle tylko, że pomostem między tymi światami jest jedynie wspólnota podstawowych kształtów, ogólnych zarysów i humanistycznych treści. Są to dzieła wybiegające z rzeczywistości, aby zmienione i odgraniczone rozpływającą się plamą, narzuconą na kontur postaci, spoglądać z pewnego dystansu w oczy widza. („Półakt" gwasz). Niezależne własną przestrzenią, markowaną zachodzącymi na siebie płaszczyznami głębokich kolorów, zyskują coraz większą autonomię, w której granicach rządzą prawa wewnętrznych artystycznych konieczności, opartych jednakże na normach choć w części zobiektywizowanych. Wydaje się, że udziałem Witza stało się szczęśliwe pogodzenie koncepcji obrazu istniejącego jako byt niezależny ze sztuką przedstawieniową, której humanizm zabarwia poetycka groteska, doprowadzona do szczytu w rysunkach. Podstawowym i w zasadzie jedynym środkiem realizacyjnym rysunków Witza jest kreska i linia nieprzerwanym ciągiem kształtująca wyrastające z siebie fragmenty postaci, których kompozycja przypomina często cyrkową akrobację, a raczej jej metaforyczną syntezę. Zwięzłość formalna nie wyklucza jednak bogatego ładunku treściowego zawartego w „portretach" i „scenach figuralnych", z tym że wynikające z interpretacji zatytułowanie rysunku pozostawia twórca odbiorcy. Bogactwo wyobraźni, poparte pewnością i szlachetną czystością linii rysunków, dało w efekcie twórczość oryginalną, wyjątkową.

Obok Witza wystawił swoje litografie Marian Nyczka, artysta szczeciński średniego pokolenia, uczestnik wielu najpoważniejszych wystaw ogólnopolskich. Pewna grupa najciekawszych jego prac ujawnia „konstrukcyjne" podejście do zagadnień graficznych, poprzez wzajemne uwarunkowanie trójkątnych i prostokątnych płaszczyzn, z których niejako zbudowano dzieło („Deszcz w miasteczku"). Tak zorganizowane powierzchnie czerni i bieli manifestują swój związek z przedmiotem lub postacią w sposób wyraźny, lecz pozbawiony narracji, przeciwnie — synteza formalna została w litografiach sprowadzona do granic czytelności. Inna cecha tej twórczości jest znaczny stopień dekoracyjności, uzyskanej przez nagromadzenie szeregu drobnych i rytmicznie rozmieszczonych elementów.

Niniejszy „Przegląd plastyczny" chciałbym zakończyć wzmianką o czynnej w styczniu w klubie „Nora" niewielkiej wystawce collages Marianna Iwanciowa z Zamościa, którego poszczególne prace mogą zainteresować harmonijną organizacją kolorystyczną.

Ireneusz J. Kamiński

KULTURA W KRAJU

Pierwszy od czasu trzęsienia ziemi w Skopje koncert zagraniczny miała Regina Smendzianka. Honorarium za występ artystka ofiarowała na rzecz odbudowy tego miasta.

✦

Opowiadania Jerzego Putramenta, wydane w języku rosyjskim, uzyskały w miesięczniku „Moskwa" przychylną recenzję pióra I. Iwanowej. Recenzentka pisze, że jest to książka „mądra, napisana w sposób ostry i żywy". Iwanowa wspomina również o „Sławie i chwale" Iwaszkiewicza, „Listach do pani Z." Brandysa, „Kolumbach rocznik 1920" Bratnego i „Pamiętniku antybohatera" Filipowicza — jako ciekawych wydarzeniach w pisarstwie polskim ostatniej doby.

✦

„Zakazane piosenki", „Ulica Graniczna", „Skarb", „Miasto nieujarzmione", „Pokolenie", „Kanał", „Samson", „Zamach" — to tytuły fabularnych filmów, których akcja rozgrywa się w Warszawie. Temat stolicy inspirował również naszych dokumentalistów w filmach „Suita warszawska", „Powrót na Stare Miasto", „Niedzielny poranek" i in. Wkrótce rozpocznie nakręcanie zdjęć do nowej pełnometrażowej monografii Warszawy Janusz Majewski. Film ten wejdzie do cyklu realizowanego przez dokumentalistów na 20-lecie PRL.

✦

Poznań czyni starania o pełne pozyskanie widowni robotniczej dla sztuki teatralnej. Teatr Nowy z dużym powodzeniem wystawił „Pokusę" Gawlika w świetlicy Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego, a największe w Wielkopolsce zakłady „Cegielski", wykupiły stałe miejsca abonamentowe w obu teatrach dramatycznych na wszystkie dni tygodnia. Podobnie dzieje się w województwie opolskim, gdzie ok. 50 zakładów przemysłowych przystąpiło do współzawodnictwa w upowszechnianiu wśród robotników sztuki teatralnej.

✦

Tysiączny w kraju klub prasy i książki „Ruch" został otwarty dnia 11 stycznia br. w Główczycach (pow. Słupsk). Na 22 lipca powstać ma w Polsce 5000 takich placówek.

✦

W Warszawie powstała pierwsza w Polsce po wojnie oficyna graficzna o charakterze eksperymentalnym. Obok zasadniczych prac artystyczno-doświadczalnych oficyna będzie przyjmowała zlecenia na unikatowe prace drukarskie.

✦

Styczeń stał się pomyślnym miesiącem dla polskiego filmu. Trzecia — po „Gdzie jest generał" i „Naganiaczu" — premiera filmowa weszła na ekrany kin. Jest to współczesna komedia obyczajowa „Dwa żebra Adama" Janusza Morgensterna, wg. scenariusza Józefa Hena.

KRONIKA KULTURALNA

LUBLIN

PO SPOTKANIU ZSP Z WŁADZAMI BIAŁEGOSTOKU, następne spotkanie w ramach współpracy województw. Rada Naczelna Zrzeszenia Studentów Polskich zorganizowała wspólnie z władzami województwa kieleckiego naradę poświęconą współpracy ZSP z województwem kieleckim Studenccy działacze z Warszawy, Krakowa i Lublina przeprowadzili w dniu 6 lutego rozmowę z I sekretarzem KW PZPR w Kielcach — Franciszkiem Wachowiczem i przewodniczącym PWRN — Czesławem Domagałą. Na konferencję zostali także zaproszeni rektorzy niektórych uczelni warszawskich, krakowskich i lubelskich. Szczególnie duże znaczenie ma wspomniana narada dla przedstawicieli lubelskiego środowiska studenckiego, ponieważ poprzedza ona spotkanie władz kieleckich z RO ZSP na gruncie lubelskim, które odbędzie się 19 bm.

Z OKAZJI 45 ROCZNICY powstania Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, odbyła się w Lublinie konferencja popularno-naukowa zorganizowana staraniem Zarządu Wojewódzkiego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Na konferencji gościli: Nina Kamieńska — dyrektor Instytutu Marksizmu-Leninizmu przy KC KRP i W. Szwed — redaktor tygodnika „Niwa". Wygłosili oni referaty: „45 lat Białorusi" i „Kultura i sztuka współczesnej Białorusi". Na temat „Stosunków polsko-radzieckich w ostatnim 20-leciu" mówił W. Barszczewski adiunkt z Uniwersytetu Warszawskiego.

Z INICJATYWY Wydziału Kultury PWRN przy współudziale Wojewódzkiego Zarządu Kin. Centrali Wynajmu Filmów i Towarzystwa Wiedzy Powszechnej zorganizowano w Lublinie Studium Wiedzy Filmowej. Otwarcia Studium dokonał w dniu 31.I. br. kierownik Wydziału Kultury PWRN Edward Nadulski. Studium liczy ponad 200 słuchaczy, rekrutujących się spośród pracowników kinematografii, działaczy k-o, dziennikarzy, studentów itd. Prelekcje i pokazy filmowe odbywają się w każdy piątek w kinie „Staromiejskim". Na inauguracyjnym spotkaniu doc. Aleksander Jackiewicz z Państwowego Instytutu Sztuki wygłosił referat na temat współczesnych kierunków filmowych.

BIAŁYSTOK

INSTYTUT GEOGRAFII PAN przygotowuje wielką Monografię Geograficzno-Gospodarczą Województwa Białostockiego. Obejmie ona omówienie przyrodniczych podstaw życia gospodarczego, zagadnień demograficznych, zajmie się też przestrzennym zróżnicowaniem wszelkich dziedzin gospodarczych. Trwają również prace nad przygotowaniem Wielkiego Atlasu Regionalnego województwa. Oba wydawnictwa stanowią poważny wkład naukowców w obchody 1000-lecia Państwa i dwudziestolecie władzy ludowej. Z CIEKAWĄ INICJATYWĄ i wartą naśladowania wystąpił ostatnio plastyk białostocki — Jerzy Lengiewicz. Mianowicie grafikę swoją związaną tematycznie z osiągnięciami gospodarczymi regionu wystawił w hali produkcyjnej Fabryki Przyrządów i Uchwytów w Białymstoku. Nowoczesna sztuka cieszy się dużym powodzeniem wśród robotników zakładu.

RZESZÓW

Rozstrzygnięty został konkurs plastyczny ogłoszony przez Komitet Wojewódzki PZPR i Prezydium WRN w Rzeszowie. Temat konkursu nawiązywał do postępowych tradycji walk o wyzwolenie społeczne w latach międzywojennych, narodowe i społeczne w latach okupacji, walk o utrwalenie władzy ludowej na Rzeszowszczyźnie po wyzwoleniu. Na konkurs wpłynęło ponad trzydzieści prac malarskich i graficznych.

Jury konkursu, którego pracom przewodniczył wiceprezes Zarządu Głównego Związku Polskich Artystów Plastyków, Włodzimierz Buczek, bardzo pozytywnie oceniło rezultaty konkursu, przyznając pierwszą, dwie drugie i dwie trzecie nagrody oraz dwa wyróżnienia. Otrzymali je:

Pierwszą nagrodę Alfred Kud za obraz pt. „Egzekucja", dwie drugie nagrody: Zdzisław Ostrowski za obraz „Pierwsze posiedzenie organizacyjne działaczy PPR na Rzeszowszczyźnie" i Adolf Jakubowicz za cykl rysunków poświęconych walkom przeciw bandom UPA, dwie trzecie: Barbara Smoczyńska za cykl rysunków „Z lat walki" i „Z lat zwycięstwa" oraz Adolf Jakubowicz za rysunek pt. „Ziemia". Dwa wyróżnienia otrzymał Marian Ziemski za dwa obrazy: „Bieszczady 1945" oraz obraz „Za ziemię z reformy rolnej".

Zgodnie z założeniem konkursu część prac zostanie zakupiona do Muzeum jako uzupełnienie ekspozycji poświęconej historii walk rewolucyjnych na Rzeszowszczyźnie.

Unia

Dwutygodnik społeczno-kulturalny „Kamena" • Redaguje Kolegium • Redaktor naczelny Maria Bechczyc-Rudnicka, sekretarz redakcji Zygmunt Mikulski • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1 • Telefon 36-45 • Redakcja rękopisów nie odsyła • Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu", zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu". Prenumerata przyjmowana jest od 1 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicą: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36,40; rocznie zł 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje PKWZ „Ruch", Warszawa, ul. Wilcza 46. Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch" Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa. Zam. 356. 29.I.64. R-3